

Wojciech Grupiński

Egzystencja i język

język transgeniczny, wyjęty z pokładów ziemi,
z ust martwych poetów, miał przestrzegać,
być pochodem, korowodem tańczących,
skradziony z chemicznych laboratoriów,
hermetycznych sal,
odebrany kupcom spalonym za przemyt cynamonu
i wanilii,
język pachnideł, mielenia i wywaru,
podsluchany wśród pokonanych z Troi, wśród
budowniczych świątyń,
symplicznych katedr schnących w słońcu, jałowych jak
odkazony bandaż,
język atrium i palatium, taniej służby, uciekających
armii,
teraz chłopcy w rzekach śpią nadzy, w mulistym
dnie pod krami.

To ostatni z 35 fragmentów składających się na poematową mozaikę drugiego z kolei tomu wierszy Dawida Junga. Tutaj przywołany na sam początek, bo jak soczewka skupiający w sobie esencjonalne właściwości całego cyklu. Cykl ten odczytać bowiem można jako próbę języka transgenicznego, to znaczy niejednorodnego wielogłosu poety, poprzez którego w istocie rzeczy przemawiają umarli różnych czasów i miejsc. Transgeniczna, gdyż egzystencjalnie „zmodyfikowana”, jest więc po pierwsze rzeczywistość, w jakiej bohaterowi poematu przyszło żyć – nie tylko z żywymi. Doświadczana przezeń teraźniejszość, to jedynie wierzchołek góry schodzącej ku niezliczonym warstwom bliższej i dalszej przeszłości pełnej umarłych, a właściwie inaczej żywych. Żywych umarłych na przykład z podgnieźnińskiego Kłęcka, Rybna Wielkiego czy Kiszkowa, ale też z Rzymu, Londynu czy Wiednia – ze wszystkich przestrzeni, które nazaczyły dotychczasową biografię autora.

Nie zawsze takie cokolwiek mediumiczne doświadczenie śmierci-życia tyłu innych jest przez mówiący w poemacie podmiot chciane i w pełni uświadomione. Na straży pamięci o tej śmierci-życiu trwa on jednak i trwać będzie, bo symboliczne rekwizyty twórczości złożyła w jego ręce siła jakiegoś neodpartego przeznaczenia, która artystę słowa ma za swój instrument, a sztukę za misję o wiele ważniejszą niż estetyczna:

nie wiem, kto kazał mi tu stać,
czekać na pokos, trzymając minię i pędzel z
króliczej sierści (...).
do moich obowiązków należy obserwować,
czy w niewidzialnych kadzielnicach nie zalega
popiół, czy sukno

nie mnie się na wotywach delikatne jak młody
kąkol.
do moich obowiązków należy obserwować,
czy ziemia nie zapadnie się pod ciężarem, czy
wzeszły chwast
nie przesłoni spalonych słońcem liter [robili je
mistrzowie
z Welnu, gdy w okolicy modny był gotyk] (...).

Trzymanie straży przy dziedzictwie żywych umarłych i misja kontynuowania ich dzieł w dziele własnym to zadania jednak trudne. Między innymi dlatego, że wykonuje się je po prostu w teraźniejszości, której skłonni jesteśmy doznawać jako namiastki życia prawdziwego. Zamiast wielowarstwowości, polimorficzności i transgeniczności egzystencji zwykle wybieramy przecież jej, bezpieczną dla nas, idylliczną niekiedy powierzchniową – zredukowaną do zewnętrznego porządku bytowania i naszych ulotnych w nim błogostanów:

(...) teraz króluje tu
podbiał, miękki pod szyją, gdy zasypiesz w skwarze
i slyszysz,
jak kobiety niosą mleko na pobliskie ścierniska, za
kolejowy
nasyt.

W żaden z tak łatwych dobrostanów nie może na dłużej schronić się poeta, który powołany został do tego, aby widzieć i rozumieć więcej. Umarli nie dają mu spokoju, a jednym z ulubionych miejsc ich objawień są naturalnie cmentarze, których nie brakowało w stronach dzieciństwa i młodości autora. Konkretne wiejskie i miejskie cmentarze przesycone *notabene* wspólną na Ziemi Gnieźnieńskiej historią Polaków, Niemców i Żydów, będącą zarazem dziejami koneksji rodzinnych Dawida Junga. Nic dziwnego, że to właśnie on udziela w swoim poemacie głosu bezimiennemu *niepogrzebanemu* ewangelikowi, który lamentuje cicho, że po historycznych zawirowaniach miejsce jego tak zwanego wiecznego spoczynku stało się użyteczną dla innych *plantacją*. Bohater kolejnego wiersza cyklu nie może oddać się przyjemnościom wiosennej przechadzki po parku i nawet rudość podskakujących wiewiórek wywołuje w nim skojarzenia z barwami wojennej pożogi. *Niedawno* stały tu przecież *żeliwne macewy*, a teraz jeden tylko poeta widzi i słyszy modlącego się po hebrajsku *starca*.

Teraźniejszość doświadczaną przez poetę zamieszkuje też umarli z bliższej przeszłości, zresztą, jak wolno się domyślać, związani może z biografią samego autora. Frapuje pod tym względem wiersz „w chowanego” – mininarracja o kolejnych „ukryciach się” w śmierć pięciu z sześciu szkolnych przyjaciół i o owym szóstym,

ostatnim z nich, któremu dane jest żyć dalej tu i teraz. Żyć jednak – jak przystało na mimowolnego strażnika pamięci – głównie po to, aby szukać tamtych umarłych, to znaczy składać o nich artystyczne świadectwo. Przywołany wiersz okazuje się, nawiasem mówiąc, ilustracją jednej z tendencji stylistycznych całego poematu. Transponując topikę dziecięcej zabawy w chowanego (czy mówiąc bardziej „po poznańsku” – w szukano), Jung stara się temat śmierci oswajać nieomal humorystycznie. Innym przejawem „lekkiego” podejmowania tego „ciężkiego” tematu jest parokrotne w tomie wykorzystanie gatunku piosenki. Niekiedy typ jej meliczności w sprzężeniu z prawie rubaszną metaforą, a nawet leksykalnymi archaizmami nasuwają reminiscencję z późnosarmackimi wierszami księdza Józefa Baki – który opisując śmierć, posługiwał się topiką rozmaitych zabaw i gier, a którym po stuleciach jakby mówi Jung:

*koronki, nożyki, służba i szkło,
zabiorą, roztluką, rozjaśnią zło,
tu leży twa дума i uśpiony szal,
nieważne kim byłeś, kto salut ci słał.*

Kontekst to zapewne tym bardziej na miejscu, że, jak wiadomo skądinąd, Dawid Jung sam badał i wydawał utwory staropolskie. O wiele istotniejsza od ich tła jest wszakże wspomniana tendencja stylistyczna – posługiwanie się przez autora cyklu ekspresją mniej „poważną” po to, aby z odwiecznym w sztuce tematem umarłych mierzyć się bez powielania nazbyt skostniałych konwencji funeralnych. Ekspresja takiej funeralnej niepowagi w „Poemacie o mówieniu prawdy” najwyraźniej jednak nie dominuje. Jak to natomiast już widzieliśmy w jednych wierszach, a zobaczymy w drugich, pierwiastek owej niepowagi współistnieje na równi z całkiem odmiennymi przedstawieniami życia umarłych w życiu żywych – ekspresjami bez mała patetycznymi czy dość drastycznymi.

Wszystkie te stylistyczne środki mieszają się tutaj i wzajemnie przenikają paralelnie do rzeczywistości, którą mają pochwyć. Jak bowiem transgeniczny – a więc wspólny, choć niejednorodny – jest świat żywych i umarłych (teraźniejszości i przeszłości), tak analogicznie transgeniczna – niejednorodna, choć spójna – jest poetyka, która fakt ten próbuje wypowiedzieć. Ta płynna mozaika form (wśród których znalazł się i sonet) pozostaje czytelna jako cykl scalony przez główne wątki tematyczne, niezależnie od jego, zamierzonych, rozluźnień kompozycyjnych. Trzymając się centralnej tu metafory transgeniczności, można zatem powiedzieć, że język „Poematu o mówieniu prawdy” to kod estetyczny zmodyfikowany o poszerzonych możliwościach ekspresyjnych. Oddalając się od kodów estetycznie jednorodnych, bardziej od nich zbliża się do fenomenów życia-śmierci-życia; niemniej nigdy ich, rzecz jasna, nie obejmie.

Metafizycznie funkcjonalna interstylistyka Dawida Junga zbliża się więc i do tego niewyraźnego wymiaru, jakim jest jedyna w swoim rodzaju granica pomiędzy państwem umarłych i państwem żywych. Granica owa istnieje, choć nie dzieli; stanowi ją bowiem – dosłownie – ziemia, w której leżą szczątki ciał tamtych pierwszych, a po której stąpają ci drudzy.

W wymownej już samym tytułem „*piosenka o podtapianiu*” daje temu wyraz podmiot zbiorowy mieszkańców może KłECKA, może Rybna Wielkiego, a może jeszcze innej z dolin teraźniejszości:

*nasze doliny są błotne gdy obrozi deszcz
lutezańskie dziewczęta śpią wtedy w glinie
czasem wypłucze się im kawalek miednicy
i muszą milczące wędrować*

Tymczasem dziewczęta żydowskie czy katolickie – z „*piosenki Charona*” – śpią zasypane piaskiem, porosłe mchem w lasach, gdzie grzyby zbierają owi niesłusznie mający siebie za jedynie żywych. Dzisiejsi mieszkańcy Rybna Wielkiego albo KłECKA wolą też o tamtych wczorajszych raczej nie pamiętać; zwłaszcza, że te pełne wioski i małych miasteczek okolice napiętnowane są straszliwymi epizodami ostatniej wojny, w których zawsze ktoś zabijał, a ktoś był zabijany:

*tutaj ziemia ma zapach osocza, jest chora.
jej mieszkańcy hibernują głęboko.
kiedyś wstaną i przybiją ci język do drzwi (...).*

Warstwy żywych i umarłych sąsiadując więc ze sobą bezpośrednio, przenikają się po prostu fizycznie. Najsugestywniej chyba proces ten zilustrowany został we „*wstępie do alchemii*” – poetycko-chemicznym opisie rozkładu ludzkiego ciała. Wiersz ten to zarazem swoiście żartobliwe przetworzenie hermetycznego motywu alchemii, jak i z lekka sadystyczne memento mortuale dla czytelnika:

*przy udziale białka zawartego w trombocycie
(trombosteiny)
oraz nakładu energii następuje zmiana kształtu
płytki krwi,
uwalniane są z niej liczne substancje czynne:
aminy katecholowe, ADP, serotonininy, jony wapnia,
te same, które razem z uziarnieniem, zawartością
próchnicy,
lepiszczem i mikroorganizmami wpływają na
trwałość gleby,
do której cię zaproszą
zainkubowani.*

Taką, ostentacyjną miejscami, pedagogiką śmierci autor potrząsa jednak nie tylko przed oczami innych, ale i przed własnymi. Bohater poematu Junga mówi przecież do siebie jedno i to samo na wiele sposobów:

*(...) ugrzęznę w błocie,
wśród pokrzywia.*

*(...) nim wejdę w pył (...).
(...) nicień iłu na wargi.*

Na różnych zatem piętach ziemskiej struktury – w jej przepastnym wnętrzu i na nieobeszłej powierzchni – żyją razem w jednym czasie, chcąc nie chcąc, żywi i umarli. Ten swoisty kosmos o chtonicznej (bo związanej z ziemią) osnowie scalony jest przez nieustanny w przyrodzie obieg substancji ciał i ciał byłych. Jedni z nas zachowują bowiem na razie owych ciał odrębność, inni podlegają właśnie procesowi rozkładu, jeszcze zaś inni egzystują pod postacią form natury, które z formą niegdysiejszego ciała nie mają nic wspólnego. Że proces tego rodzaju metamorfoz

dzieje się w naszym życiu już tu i teraz, aż nadto dobrze wie podmiot „*piosenki o parowaniu*”. Bliski autorowi (wywodzącemu się, jakby nie było, z Gnieźnieńskiego Pojezierza) komunikuje on poczucie własnego, ciągłego *parowania*, czyli zmiennych stanów swojego „egzystencjalnego skupienia”. To metafora przemijania lub raczej oryginalnie dosłowne przedstawienie naturalnej – ale doświadczanej dramatycznie – transformacji życia-śmierci-życia.

Obraz takiego chtonicznego kosmosu żywych i umarłych odnieść można do różnych perspektyw kontekstowych. Są wśród nich: pomodernistyczny biologizm (który powróci w wątkach erotycznych poematu Junga), panteizm oraz, co chyba najciekawsze, religie archaiczne z ich między innymi kultem zmarłych. Szczęśliwie jednak elementów powyższych nie ma potrzeby eksponować. Od erudycyjnej gadatliwości wywołującej iluzję wszechwiedzy i tematu wyczerpanego o wiele lepsza jest w tym miejscu inspiracja do lektury poezji. Wystarczy więc uogólniająco podkreślić, że sygnalizowane odniesienia interpretacyjne (biologizm, panteizm, religie archaiczne) uzasadnione są tutaj jako kontekst podstawowych właściwości owego chtonicznego kosmosu żywych i umarłych – jego z jednej strony fizyczności, a z drugiej transcendentności.

Tego rodzaju wizję transgeniczną inkrustują wyselekcjonowane przez autora składniki eschatologii chrześcijańskiej. Żywi i umarli z „*Poematu o mówieniu prawdy*” pragną bowiem czegoś znacznie więcej niż na swój sposób depersonalizującej egzystencji w kołowrocie odnawiających się w nieskończoność cykliw narodzin i rozkładu na granicy materialnego i niepoznawalnego. Oczekują wyzwolającej przemiany owej cyklicznej struktury czasu w strukturę jakiegoś ukierunkowanego wektora o punkcie Alfa i punkcie Omega, który upływowi czasu nadaje sens stopniowego spełniania się aż do pełni ostatecznej. Nie ulegając znamienym dla żywych złudzeniom doraźnej egzystencji w ciele, mocniej tego wszystkiego wydają się jednak pragnąć umarli. W swoim oczekiwaniu chwały wyzwolenia się z czasu i przestrzeni bywają zatem w oczach poety kimś bardziej żywym niż większość żywych z ich *obłożnie chora*, efemeryczną ziemią:

(...) *chwile smutku i płacz.*
później będą rzeczy trwałe.
gloria tych, którym ziemia obłożnie chora otula
czoła.
gloria tych, którym ziemia obłożnie chora kładzie
się na języki.

Oni też właśnie – umarli – w milczeniu zawierają ze sobą i z poetą sojusz eschatycznego oczekiwania na koniec starej egzystencji, który będzie początkiem nowej.

(dokończenie w następnym numerze)

Dawid Jung: „*poemat o mówieniu prawdy*”, Zeszyty Poetyckie, Gniezno 2015.

David Campbell

Żółta róża

Żółte masło
Róży ubite
Z uwięzionego
W maselnicze światła

Światła które rozchyła
Powoli
Płatki dziękują miłości
Kiedy płonąc występują z brzegów
Ugodzony żądłem bez kresu

A róża podróżuje w czasie
Żółty dziób drapieżnego ptaka
Moja blond miłość
Kwiatowa dama
W spazmatycznym śmiechu

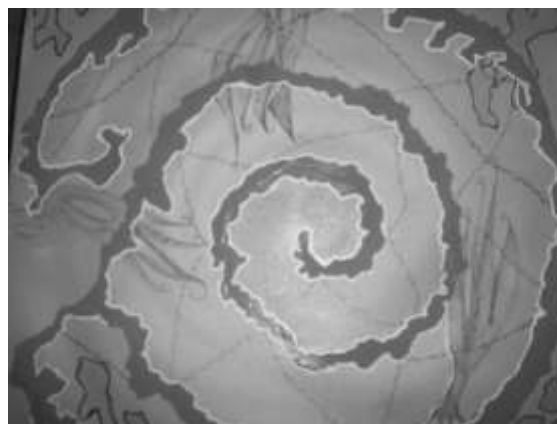
Jej ciało
Poruszające się z prędkością światła
Zamienia się w żółty opłatek

Dla obserwatora stojącego w miejscu

Płatki wyzwolone z czasu
Falują na wietrze

tłum. Katarzyna Michalewska

David Campbell- poeta australijski ur. w 1915 r. w Ellerslie Station (Nowa Południowa Walia), zm. w 1979r. w Canberze. Wydał 15 tomów poezji i prozy. Laureat prestiżowej nagrody Kennet Slessor Prize w dziedzinie poezji za tomik „*Man in the Honey Suckle*”(1980 r.).



Wysoko podnosisz nogi, a i tak się potykasz...

Człowiek w matni mechanizmów przyrody, w matni wytworów cywilizacji, będących kolejnym etapem naturalnego cyklu przemian - cyklu, który od punktu, od poczęcia zmierza przez apogeum rozwoju do schyłku, rozpadu i klęski. Człowiek w matni „szaleństwa katalogowania” (Umberto Eco), które przydziela mu liczby, numery, ustawia go w kolejności znaczeń, zgodnie z naturalną skłonnością do porządkowania, nadawania przejrzystości skomplikowanemu... Łucja Dudzińska powtarza założenia Peiperowskiej teorii poezji – eksponuje miasto, masę, maszynę w wersji uwspółcześnionej, buduje wiersze z cegieł ostatnich zdobyczy ludzkości (tv, internet, kevlar, gore-tex, segregatory, wózki, kadry 3D), które jak szara sucha nić kokonu owijają szczelnie jednostkę w każdym wymiarze istnienia, nie pozwalając jej, wbrew potencjalnym możliwościom, rozwinąć barwnych skrzydeł, skazując ją na głuchotę i ciasną samotność. To nie pochwała dokonań ludzkiego umysłu, raczej eksponowanie ich destrukcyjnych i fatalistycznych mocy, objawiających się w zautomatyzowaniu życia, cyfrowaniu jednostki w ciąg liczb, utracie tożsamości i samoświadomości. Widać mijanie czasu, dynamikę pozornej ewolucji, zmierzającą do degradacji człowieczeństwa – zdziera się skórę, otwiera żyły, kaleczy, zadaje ból, rozłupuje skorupę: *słońce / rozsiewa swoje drzazgi. Wbijają się w rytm / układania na półce ciągu skaleczeń.*

Biologiczność i duchowość ustawiona jest naprzeciwko, a może bardziej w środku cywilizacji i urbanizacji – słyhać, powodujący nerwowe napięcie łoskot, widać anonimowość mas ulicy, dyktat środków masowego przekazu, grę pozorów i uprzejmości.

Człowiek-robot to wytwór współczesności, którą sam wykreował. Ustanowił szyfry, kody, piny, pesele, opisał matematycznym ciągiem każdy aspekt istnienia i współistnienia. Owija go szum przestrzeni, którą zagospodarował, która przerosła możliwości jego percepcji, nie może nadażyć, by czułkami swojej głowy wyłowić wszechogarniającą go informację - nadawanie, odbieranie. Staje się ona bełkotem, chaosem, drażniącym brzęczeniem... Idee rozprasza „społecznościowy spleen”. *Anteny na dachu trzymają pion, nad słuchują, co się mówi dookoła.* Wyobcowanie z natury i wtłoczenie w nową pseudonaturę, doprowadza do przerażającej konkluzji: *za darmo chwytam tlen.* Ludzki element wielkiej cyberkonstrukcji na platynowych stykach momentami iskrzy prawdą, ale gniece się ona, rozprasza we wnętrzu następnej maszyny – internetu, gdzie miksuje się w papkę sztucznych zachowań, słów, pozorowanych pomysłów, aby dostać kciuk do góry – to jego perspektywa, przyszłość, teleprzyszłość.

Tomik Dudzińskiej jest w pewnym sensie opowieścią o słowie (raz ciężkim spadającym na dno, raz „lekkim, okrągłym”, lecz tłustym jak oka na rosole), o sztuce tworzenia (kilka wierszy z dziedziny *ars poetica*), samotności tworzenia jako powtarzaniu kreacyjnego aktu boskiego. Ewolucja słowa jest pętlą, zatacza koło jak

wszystko w Heglowskiej triadzie przemijania – od prapoczątku, prawieku, gdy dziecko uczy się mówić (tu do porozumienia wystarcza sylaba!) przez bogactwo dojrzałości (gąszcz znaczeń, przenośnych rozumień) aż do wielce semantycznego odgłosu „styropianu na szkło” – zgrzytu, pojedynczego dźwięku, tak jak Herbertowskiej jednej głoski „a” w wyciu obdzieranego ze skóry mistrza Marsjasza stworzonego na wzór i podobieństwo, by na powrót stać się ciszą... *Wszystkie ścieżki / w górę rozprysną się w głęboką noc*

Cisza jest znakiem końca i osamotnienia. Słowo wraca do milczenia, człowiek związa się w embrión, kuli do punktu, do pojedynczego ziarna ziemi. To w wymiarze indywidualnym, a w społecznym - wraca tam, skąd przybył, do praprzyszłości bezcywilizacyjnej, gdzie dominowało prawo siły, czujności, gotowej do walki pięści. W wersji dzisiejszej ucieleśnia ją mrok pubów, słów na pokaz, pewny siebie wyraz twarzy, błyszczące cekinowe ubrania, które krzyczą dwoiście – odstrasza wrogów błyskami potencjalnej siły i przyciągają wzrok przyjaciół, wołając o pomoc. Zewnętrzna skóra - kostium na pokaz jest wyrazem lęku przed innym człowiekiem, lęku o własną tożsamość i odrębność, którą starają się zrównać sondaże, ankiety, opinie. Wraz z rozwojem cywilizacji człowiek chroni swoje wnętrze, coraz bardziej separując własne ciało od otoczenia, najpierw malowidłami, tatuażami (odstraszającymi złe moce), trawami i liśćmi, wreszcie ubraniami. *Świat owinięty wokół ciebie szuka czułych miejsc / po omacku. Dobrze zmienić skórę w gore-tex.*

Anonimowe tłumy przesuwają się w rytm odliczeń, przeliczeń, porządku zer i jedynek, elektronicznego zakwalifikowania, zewidencjonowania, potwierdzając smutną teorię, że człowiek nie jest w stanie pokierować własnym losem, role zostają z góry rozdane, elektroniczne ścieżki przydzielone, *ktoś układa pasjansę*, tasuje, rozkłada na nowo. *Kręgosłup traci pion*, a jednostka traci możliwość suwerenności wyborów i decyzji.

Wiersze Łucji Dudzińskiej przypominają gipsowy odlew – zapis przywołuje na myśl proceduralne protokołowanie obrazów, sprawozdanie ze zdarzenia, quasinaukowy wywód, strzelanie hasłami jak z reklamy, receptami ostrzeżeń i zaleceń. Stąd w składni czas teraźniejszy, tryb rozkazujący, równoważniki zdań, terminy specjalistyczne z różnych dziedzin nauki (w samych tytułach: inercja, membrana, cyrkulacje, ewidencja, akustyka, embrión, ewolucja, retrospekcja, tolerancja, osmoza, manewry, iniekcja), tezy i antytezy. Obok gry obrazów – gra pojęć. Ciąg asocjacyjny syntetyzuje rozbite obrazy i spostrzeżenia w całość. Jak z relacji wielu świadków wypadku, daje się odtworzyć prawdziwy przebieg wydarzeń. By zachować *proporcje* czasem przez wiersze przebiega nieśmiało romantyczne (!) widzenie świata, człowieka obdziera się ze skóry, wyrzywa mu żyły, a dawcę życia określoną jako „szaro-czerwoną pięść” bijącą w środku, nazywa się zwyczajnie „sercem”.

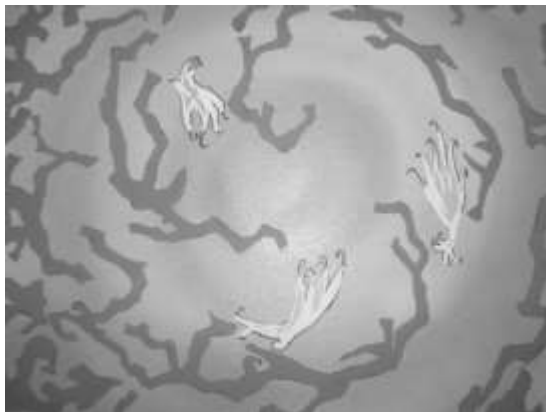
Trzeba spreparować przepaść, taką z przestrzenią, gdzie / można się wznosić i nie spadać. Niech to będzie dolina. / Niech będzie zielona od wiosny.

Łucja Dudzińska „MeMbrana. Cyrkulacje”, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014.

Agnieszka Balewska

Myśli z laguny 2014

Szepecząc do siebie słowa szczerze zachwyty nie osiąga żadne ziele. Czasem jest błękitnooki szpaler sosen, który został określony na 30 wiosen. Myślę sobie tak, jakby to był mój brat, jeden z drugim opisani w grani. Teraz człowiek zobaczył kilka dłoni, co nie raz wyrwywają spod kopyt koni, kiedy ulatują nogi pędzących drwali do kowali... Alfabet Morsa koty z dorsza, filety omlety z palety. Jestem sobie nieutrudzona, trochę uśpiona, choć wybudzona... Piszę do Ciebie ten list bławatny, nieopodal szkarłatny, wiersz tuzinkowy, całkiem malinowy... Zmyślony deseń przezeń okrucy bieli i nie śmieli. Jakby myśli złagodniały, przestały kaleczyć, zaczęły się leczyć... Zostały barowe chwytły enigmyty... Gdzieś utulona jagodzianka leży na zmożliwej warstwie nieprzemakalnego parasola i mola wola... Słychać jeszcze ślady zmęczonych alabastrów, które wchłonęła woda... Nie wiem gdzie poszedł on ten, którego nie chciałam pożyczyć znajomej na wczasy. Stałam się zazdrosna i nieprzewidywalna w kruchych ciastkach z majonezem pikantnym na ostrzu rybiej ości. Wiedziałam, że z czasem zostaną uśmiechnięte ogonki z jabłek, które zjadam codziennie i systematycznie. Bardzo mi smakują soczyste słodkie i wciągające miększe owocowe które dają mi pogodną siłę do kolejnej godziny dnia...



Kochany komarze z filipińskiej słomy, ze źródłanych starych konwalii... Została zimowa jesień zeszytywniała od wiatrów spod wehikułu czasu. Niestety nie znałam go wcześniej zanim poszedł na studia i wtedy może wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie wiedziałam też jaki ma kolor jego piórnika i jakiego atramentu używa w zeszytce dendrologicznej. A jednak kochałam go ciągle i coraz bardziej wierzyłam w swoje przeznaczenie. To było jak kolejny żart z kalendarza. Nie sądziłam już nic, bo nie miałam siły... Trwałam, stałam momentami ukrzyżowana, chwilami sfrustrowana, czasem uśmiechnięta i żywa... Ale los trochę przekorny wyrwywał mi spokój i nie byłam do końca stabilna. Po prostu coś innego świeci w dzień a coś innego oświetla w nocy moje włosy i włosy jego, długie zakochane i zakręcone za uchem. Takie włosy, kłaczka, co śmieją się niemożliwie od ściany do ściany, od podłogi do sfitu. To było wszystko nierealne, niesprawdzalne i takie piękne, niezwykle i bardzo rodzinne... No cóż, kiedyś przychodzi próba... Nie

chciałam już krakać, nie chciałam płakać, chciałam być wierna, bierna, sympatyczna, akustyczna, słyszalna, rozpoznawalna, ubłagana i pojednana. A jak Świat ??? On się nie dziwił i nie przeszkadzał. Świat się wreszcie odnalazł w dłoniach z piaskowej tęczy... Myśli skłębione w kłębkach najgłębszym i ciągle ufałam, że się uda... Tym razem się uda i to wbrew czasom... Ale wraz z czasem przyszła moja muza i byłam tak wzruszona, jak kawałek pomarańczy w galarecie... A sok, miód, ciepła dynia, rozmyła się i spadła do naczynia. Bo gdzieś nie opodał moich dni siadł królik z japońskiego księżycy, którego to kołysankę uczyła mnie kiedyś skośnooka...

Coraz liczniej i gęściej przylatują ptaki niebo - znaki na białych, szarych, stalowych chmurach, rozkładają swoje skrzydła na czas świątecznej zgody. Jestem tutaj obecna, możliwa do oznaczenia na kolor, formę, przestrzeń, dźwięk, zapach. Czasem szczydzi ze mnie świat z bocznej ławki... Niechcący wkręcam się w rolę marchanda. Zaczęłam pić nektar z komórk, z mrowiska, z leśnego lata, które bezwiednie przeminięło... Kiedyś były na drzewach liście owoce, motyle, gniazda i inne gąsienice. Teraz zostały jemioty na nagich pogiętych gałęziach. Minęły dni, o których kiedyś mówiłam często w piątki i w snach. A w roześmiane przystanki przerzucając się w trampkach rozmigotane zostały myśli i flakony do głębokich róż. Nikt nie wiedział i nie spodziewał się już, że kiedykolwiek odnajdę swoje ukradzione chwile rozpaczy. Cały czas byli obecni ci, o których naturalnie zapominałam. Siłą rzeczy nie mam doskonałej pamięci... Ale Słoneczne liczby nie zostają odzwierciedlone w kolejnych absydach czasu. Jest niewielki las, w którego krążanku chodzą na spacer siwobrodzi leszcze i złote karpie... Ale tylko o poranku można z nimi pływać w liliowym basenie alg. No cóż, w taki sposób widać tradycję i przywiązanie do obyczaju, nawet wśród znajomych można odszukać tylko jedną przyjaciółkę... I tylko jednego przyjaciela...

Czekam na biały bezpieczny kapelusz, na sweter fajny, ciepły bajecznie kolorowy. Chyba go sobie kupię w sklepie osiedlowym. Lubię te opowieści muminkowe... Te opowieści z deszczowym tuszem na skroniach okładki, taki czuły gest w kierunku dojrzałych dni i niewinności i odpowiedzialności... Myślę, że czuję, to czuję więc jestem. Ciągle od nowa, prawie od zera zaczynam żyć znowu na niebiesko, czerwono i żółto, wydobyłam się z entropii melancholii. Tak jakbym mogła przejść do oczywistych dziennych zamysłów, o których nigdy nie wątpiłam, ale też nigdy nie miałam ich w realu... Zobaczyć, przeżyć, nauczyć się od nowa, całkiem po ludzku, niby księżyc cały i pół, niby ziemia cała i pół, niczym stary dwór i myjnia samochodów z rykiem silnika w odległej przestrzeni... Jesteśmy uwiązani sprawą czasu i w nim zanurzeni i to nawet dobrze się złożyło... Najtrudniejsze zadanie to trwanie, zgadywanie, wyczuwanie, oczekiwanie. Jesteś swoją ulubioną Migotką... Wtedy było jaśniej i cieplej niż kolejnej nocy... Nikt mnie już tak nie rozumiał, jak ten pan z fajką i cygarniczką, którą sama od niego pożyczyłam nieraz... Inaczej było później, kiedy już nie paliłam i nie smakowałam zapachów.



PREZENTUJE

Jarosław Jabrzemski

nie kupuj mi białych myszy

podaruj szczura żeby pomógł
odnaleźć wyjście z labiryntu
i drogę wskazał mi do domu
i tropy pośród wszystkich mitów
tych co natręctwem mącą obraz
który wydawał się tak jasny
że chętnie brałem go pod obcas
rozswawolonej wyobraźni

kiedy już będę pod balkonem
zobaczę twoje chłodne dłonie
takie kojące i niechące
bo ja w gorączce

ja w gorączce

liszka

cokolwiek wiem
resztę podpowie intuicja
przez mgłę
ostrożnie stąпам po zgliszczach

a jeszcze się żarzy
gąsieniczka
przeziernik z marzeń

skrzydlaty obłoczek
ponętny odwłoczek
imago nago
we śnie

na dobre jest źle
w zakamarkach
w tym dymie
prze
minie mnie
trociniarka szparka

motyl
o jeden dotyk

kabarecik

leci gdzieś ten mały pies
nieuważny jest
i śmieci

też bym chciał do ludzi
wzlecieć
wytrwać w trudzie
i nabrudzić

na tym świecie

wygrany poza loterią

uśmiech się zbrylił
na szkle malowany
nie śpiewogra
jak Gaertner nie potrafię
komponować
dla zabawnej chwili
zachować się odpowiednio
zadbać o jedność

soplem zastygł *statek pijany*
na rafie
na skałach w zapomnianym fiordzie
rozsuńcie ściany
może powstrzymam ten proces
grymas na mordzie

Lady Midnight
twoje ciało oskubały gwiazdy
mnie ciemieży księżyc
pajdę z mojego bochna wyżarł
w którym na drożdżach
pokraka rośła
ale mam przydział
na zwidy
na solenoidy prawo jazdy

wybacz że nie jadę
i na skrótę idę
fidesedcui vide
twoim śladem

Wiersze pochodzą z książki „Egzuwia Egzekwie” (Fundacja Duży Format, Warszawa 2014), drugiej książki autora „Dyptychu ciulaczy” (Miniatura, Kraków 2013). Jarosław Jabrzemski urodził się w 1995 roku w Warszawie. Publikuje w Internecie.

Andrzej Coryell

Aforyzmy

Wagom sprawiedliwości zawsze czegoś brakuje:
szalek, łańcuszków, odważników, a nawet języczka
u wagi.

Pustyni nie wadzi jałowość, lecz drażni ją podskórna
woda.

Wadliwa struktura powieści, krusząc się, może
ciężko zranić czytelnika, a nawet
go zabić.

Modliszka-dewotka zginie z głodu.

Szatana nic nie kosztuje przychylenie nam nieba.

Brak tego i owego u rzeźniacza w niczym nie
przesądza o jego wartości eunucha.

Ścianom w uszach do twarzy – twierdzą uszy.

Pytał, czy żerować na wspomnieniach niczym
drapieznik czy jako padlinożerca. A może skubać
delikatnie jak żyrafa listki wspomnień?

Pomyślała maczuga: Chciałabym dzierżyć człowieka
w dłoni.

Żarliwe świece umierają młodo.

Drogowskazom wolno się mylić co do naszej drogi.
Nam nie jest wskazane.

Nawet mordzie miłość do twarzy.

Pokojowo eksportujemy broń.

Prawdziwa cnota grzechu się nie boi.

Jedynie Mnemozyne może bez szwanku posmakować
wody z Lete.

Orzeł i reszka marzą o remisie.

E. traktuje swoje ciało jak świątynię, której jest
kapłanką, lecz nakłania do przekraczania jej
progu wszystkich wiernych.

Bez kręgosłupa moralnego jakże giętko!

Gorycz świata można posłodzić. Ale wtedy wyda ci
się przesłodzony.

Andrzej Coryell, ur. w Warszawie, malarz
i rzeźbiarz mieszkający w Lozannie. W 1978 r.
opublikował zbiór wierszy „Les chameaux du
myope”, Wyd. Caractères, Paryż. Autor aforyzmów
i przypowieści, które ukazały się między innymi
w „Akcencie”, „Aspektach”, „Toposie”, „Tyglu
Kultury”, „Zeszytach Literackich”, „Przeglądzie
Filozoficzno-Literackim”, „Res Humana”.
W 2002 r. zrealizował film krótkometrażowy
„Album rodzinny”, a w 2004 r. następnym – „Wodna
kaligrafia”.

Joanna Roszak

jutro

jak to jest
przyjść na świat
i go nie zastać

w porannym pociągu

zaczynam od ostatniego wiersza
kartkować wybór poezji aleksandra wata
mężczyzna w jarmułce siedzący naprzeciwko
podejrzewa że czytam od pierwszej strony
i w jego języku
rozpoznaję to po ciepłym
spojrzeniu
„a jednak się rozumiemy”
myślę i wracam do
innego ciemnego świedidla

kwagga

nagie zwierzęta
ubrane od środka
lista obecności nieobecnych
w połowie alfabetu kuagga
i my za kilka lat
będziemy zaczynać czytanie gazety od
nekrologów
*oby ludzie odrośli w mieście
jak trawa na ziemi*

Wiersze z tomu "Tego dnia", wydanego nakładem
WBPICAK w 2015 roku.

Joanna Roszak (ur. 1981r. w Poznaniu) –polska
pisarka, poetka, publicystka, wykładowca akade-
micki. Adiunkt w Instytucie Sławistyki Polskiej
Akademii Nauk. Doktor nauk humanistycznych.
Nominowana do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej
"Silesius" (2012) za tom „Wewe”, stypendystka
Marszałka Województwa Wielkopolskiego dla ludzi
kultury (2012), nominowana do Nagrody Literackiej
Gdynia w kategorii Poezja (2014). Publicystka m.in.
serbskiego "Liparu" oraz "Pro Femina", amery-
kańskiego "Przeglądu Polskiego", czasopism
polskich tj. "Odra", "Topos", "Literatura na
Świecie", "Res Publica Nowa" a także "Nowe
Książki".

Mateusz Wabik

Widok spoza piaskownicy wśród ruin

Zdecydowałem się napisać skromną notatkę o nowym tomiku Leszka Szarugi „Fluktuacje kwantowe”, nie dlatego, że jestem wiernym czytelnikiem kolejnych tomików krakowskiego poety, ale dlatego, że stanowi dla mnie jego poezja jakieś novum, odróżnia się mocno od tego co czytam na co dzień i przez to mocno zastanawia. Jeśli miałbym wskazać najciekawszy tom wierszy przeczytany w ostatnim półroczu, na pewno wskazałbym także i ten. Tom zawiera awangardowy poemat o tym samym co książka tytule, który jest rozbity na 52 ponumerowane wiersze z kolejnymi liczbami zamiast tytułów. Jeśli chodzi o awangardowość poematu tutaj zaznaczam, że chodzi mi o jego sposób zapisu – brak znaków przestankowych, dużych liter, przejścia od doskonale przejrzystych wersów do różnych zbitek, rejestrów języka, gdyż tematem Szaruga przeważnie wpisuje się w poszukiwania klasyków. W przeciwieństwie do wielu współczesnych poetów, szczególnie od niego młodszych, Szaruga nie narzeka na śmierć podmiotu, nie stara się podejmować modnych tematów, ale stawia pytania na temat istoty wszechświata, zastanawia go fizyka kwantowa, także mistyka, próbuje się zmierzyć z dzisiejszą rzeczywistością.

Szaruga odwołuje się do klasyków filozoficznych lub ich przywołuje – Talesa, Sokratesa, Platona, gdyż interesuje go to samo co ich – skąd wziął się świat, jaką ma naturę: *powiedział Tales wszystko / jest z wody i wszystko / jest pełne / bogów*. Nie odrzuca klasyki filozoficznej, choć przywołuje współczesnych naukowców w obszernych cytatach np: Hallera, Carla-Friedricha von Weizsäckera, Stephana W. Hawkinga, którzy mimo postępów technicznych współczesnej cywilizacji nie mają żadnych gotowych odpowiedzi na temat wszechświata, fenomenowi kodu genetycznego, gdyż skazani jesteśmy na niespójne całościowe teorie, a jedyne co możemy, to porównywać np. fenomen kodu DNA do bajtów informatycznych: *nie / będziemy mieć / teorii wszystkiego, gdyż wszystkie teorie / spaja / człowiek każdy / człowiek / inaczej*. Wielość punktów widzenia, różnorodność światopoglądów uniemożliwia istnienie jednej teorii, która byłaby właściwa. Poety nie zadowala to, że jesteśmy skazani na różne opowieści, jedne ważniejsze, drugie mniej, choć to gwarantuje polityczną, naukową wolność, jest jej wynikiem. Poeta nie stoi po stronie ideologicznych totalizmów, po prostu nie znajduje wyjaśnień. Wydaje się Szaruga podziwiać mądrość starych filozofów, a także przenikliwość poetów – Celana, Karpowicza, bo sama fizyka kwantowa utknęła w martwym punkcie. Poeta namyśla się nad istotą dzisiejszej rzeczywistości pełnej zakłamania i infantylizmu w czym jednak powtarza pewne rozpoznania znane z wierszy

Tadeusza Różewicza, czy Andrzeja Sosnowskiego, a więc autorów nieco starszych od twórców z pokolenia „bruLionu”, którzy dobrze się czują w przenikniętej mediami, kapitalistycznej polskiej rzeczywistości, tzn. może nie tyle dobrze się czują, co na nią nie narzekają, próbując zmierzyć się z jej istotą. Nie twierdzę, że Szaruga polemizuje z młodszymi poetami, sam też nie pisze wierszy od A do Z skrojonych jak młodopolski frak. Też zbija języki, jednak charakteryzuje jego poezję większa ilość oporu przed dzisiejszym światem popkultury, mediów, spraw polityki, niż to ma miejsce w poezji młodszych poetów. I to też jest ciekawe, że języki te są różnicowane, bardziej niż np. w latach 90-tych. W wierszu nr 46 Szaruga przywołuje obraz piaskownicy wśród ruin na określenie dzisiejszego świata.

Książka Szarugi jest godna polecenia i dlatego o niej napisałem, bo jednak uważam, że recenzentwo ma jakiś sens, przynajmniej sygnalizacyjny, że po coś warto sięgnąć, o czym nie wie się, czym jest, coś przeczytać, pomimo tego, że nie znajduje się na liście bestsellerów.

Leszek Szaruga, „Fluktuacja kwantowa”, Biblioteka Toposu, Sopot 2015.

Barbara Kęcińska-Lempka

Lekarstwo na współczesny świat

Mam przed sobą dwie książki: „Powroty” Daromiły Wąsowskiej-Tomawskiej i „Z oddali” Stanisława Chutkowskiego. Same tytuły sugerują podobieństwo spojrzenia obu twórców na świat. W miarę upływu lat patrzemy na życie z oddali - rośnie chęć zatrzymania i oswojenia czasu, powrotu do dawnych przeżyć. *Tylko przewróć kartkę / wszystko odpamiętać* – pisze Daromiła Tomawska w wierszu „Z księgi dworu”. Poetka wspomina rodzinny dom w Szamotułach, pobytu w Gorcach, *cały dziecięcy nasz / świat / fioletove zofijanie wilgi / świat jaskółek przed deszczem / łapanie chrabąszczy o zmroku / Zastygam w bezruchu / chwili / - odgubionych lat*.

Stanisław Chutkowski w utworze „To przeminęło” deklaruje *piszę o wszystkim / co z wiatrem pamięć niesie / dotykam ludzi / teraz i tych z minionych lat*. Wraca do pierwszej miłości, która *przyleciała z wiatrem / na łące / poczuła zapach kaczeńca / i pachnącej sasanki*, wspomina smak świeżego mleka w blaszanym kubku.

Z przytoczonych krótkich cytatów widać jak ważny jest konkretny w tekstach obu twórców. Daromiła Tomawska w oparciu o szczegół (konkretny miejsce, zdarzenie) buduje więź z czytelnikiem – kameralną, intymną, osobistą. Trudno oprzeć się klimatowi lirycznemu jej wierszy. Lektura „Powrotów” jest jak odpoczynek *na ogniu pawia kolorowej poduszki*. Nie trzeba biec, można *w bezz czasie z dziecięcą wrażliwością zachwycać się światem*. Wszystko jest tu ważne: złote kaczeńce, kwiat koniczyny, *oddech pająka*, obłoki nad górami, *krwiście czerwieniejące buki i soczyste świerki Beskidu*. To właśnie leżące w Beskidach

Gorce i mała wieś Rzeki stanowią tło wielu utworów Daromiły Tomawskiej. W przyrodzie, jak pisze poetka, *wszystko jest jak ma być*, jest harmonia, piękno, powtarzalność. Przyroda zachwyca, uczy pokory, przybliża do Boga. Niczym woda od wieków płynąca w Kamienicy *zostawia zdziwione oczy, szum, prawdę i wolność...* i ukojenie.

W wierszach Stanisława Chutkowskiego także odnajdujemy obrazy natury: *pachniesz kwiatami łąk / rosisz stopami trawę / koisz skowronkiem* – pisze poeta w wierszu „Marzenia o poranku”. Pięknie odmalowuje kwitnącą akację za oknem *wyglądającą jak dziewczynka do komunii*, która *wieczorami wkrada do sypialni / zwodzić na pokuszenie / wonnościami*.

Te utwory, liryczne, rozmarzone – na pewno przypadną do gustu czytelnikowi. Wiersze publicystyczne, rozgrywające się w scenerii wielkiego miasta rażą niekiedy swoją dydaktyką i oczywistościami. Twórca chyba ma tego świadomość. W tekście „We mnie” pisze: *co na zewnątrz / skorupą / strojem / puchem ulotnym się staje / to nie moje / co wewnątrz / w duszy / umyśle / na długo zostaje / to moje*. Bronią się wiersze z dowcipem, zaskakujące czytelnika pointą („Trotuar”, „Być szybciej”). Te z publicystycznym morałem oceniam znacznie niżej: *współczesny krzyk o pomoc / jest niesłyszalny / tylko nieliczni są na niego uczuleni* – zdanie kończące utwór „Krzyk” jest jak wyjęte z gazety, a nie z wiersza.

Mam nadzieję, że te krytyczne uwagi nie zniechęcą Stanisława Chutkowskiego do pisania. Jest debiutantem – jak każdy ma prawo do błędów i słabszych tekstów. Wiele wierszy jest pięknych i na poziomie – cały tomik znajdzie na pewno czytelników, którzy odnajdą w nim swoje doświadczenia i przemyślenia.

Wiersze Daromiły Tomawskiej wymagają od czytelnika większego wysiłku. Poetka ma za sobą wiele lat „pracy w słowie” – debiutowała w 1997 roku. „Powroty” to jej szósta poetycka książka. Obok utworów poetyckich autorka pomieściła tu artykuły o znanych postaciach z historii polskiej kultury. Można poczytać m.in. o kulcie Mickiewicza w Wielkopolsce, poznać dalsze, poznańskie losy Michalika, właściciela krakowskiej kawiarni, gdzie narodził się słynny kabaret „Zielony balonik”. Daromiła Tomawska pisze żywo i barwnie, wynajdując nieznanne szczegóły np. opisuje wygląd domu, jaki w Kalifornii wybudował dla Modrzejewskiej jej mąż Karol Chłapowski, odkrywa kto z wielkich siadywał pod konarami dębu w wielkopolskim Kopaszewie. Przypomina Romana Postempskiego malującego obrazy – sceny z „Pana Tadeusza” i wizerunek Świętego Michała do wielkiego ołtarza fary w Pobiedziskach.

Dwie pozornie odrębne części książki łączą przesłanie: przyroda i kultura są ożywczymi źródłami oraz lekiem łagodzącym dolegliwości współczesnego świata. Cieszymy się więc z wydania „Powrotów” Daromiły Wąsowskiej – Tomawskiej i tomiku „Z oddali” Stanisława Chutkowskiego. Bądźmy wdzięczni autorom, że sięgnęli po pióro.

*Daromiła Wąsowska – Tomawska, „Powroty”, Salon Artystyczny im. Jackowskich, Pobiedziska 2015.
Stanisław Chutkowski, „Z oddali”, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2015.*

Marek Słomiak

* * *

rozszerzasz usta
oddech chłonie zapachy jaśminu
zbierasz siły
by przez gąszcz zaniedbań przejść
ciszą - - tyle już wycierpiałas
chwil niepewnych -
rozszerzasz oczy
wzrok chłonie biel konwalii
zawierzasz ciało
by w oczekiwaniach rozterce znaleźć
rozwiązanie - - - tyle już rozegrałaś
chwil niepewnych -
rozszerzasz głos
słuch chłonie poszum ostrego igliwia
wypowiadasz zdania
by pobyc z kimś moment w zdarzeniu
troskliwych oczu tuleniu ciała
wypowiedzenia siebie - - - tyle już
przegrałaś chwil niepewnych - lecz
rozwartych ramion tłum czeka wciąż
na ciebie . . .

Jolanta Skamarska

złoty środek

jak tu spać
kiedy słońce celebrytuje przebudzenie
ciepłym językiem dotyka
niby przypadkiem nieostrożnie
kusi nieprzystojne myśli
ulegam
piszę wiersz

Szymon Ratajczak

Mamo

Zawsze jesteś Słońce,
Gwiazdo co dzień spadająca,
Oddech pierwszy w ciemności.
Ty, która kiedyś dłoń swoją w płomień po
dłoń moją oddałaś.
Synów swoich wśród cienia w świetle
zachowałaś.

Ktoś pochylał się nad lustrem nieba
i pchnął łódź lekko w czarną podróż.
Ktoś strzałę komety wysłał za mną,
przewodniczkę.

Mój stos już płonie.
Bądź deszczem, Iskro!

Jerzy Benjamin Zimny

Niecała jaskrawość

Z okna na szóstym piętrze wypatruję znajomych. Żona w pracy, córka w szkole. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Chyba przejdę się do Witka, Witek lubi piwo i dużo pali, obaj kopcimy jak parowozy. Witek pracuje do późna w nocy, pisze „cudownej piękności wiersze”, jak ktoś się o jego wierszach wyraził – chyba Stachura. Inni krytycy też się ciepło o Witku wyrażają. A on nic sobie z tego nie robi. Park Górczyński nie przypomina parku. Gdyby nie Witek – żartuję – drzewa by tu nie rosły i tych alejek by nie było, ale poeta za oknem musi mieć park, inaczej nie napisze pięknego wiersza. A Witek pisze i tu przy Ostrobramskiej czuje się najlepiej, chociaż rzadko wychodzi do parku. Jak już gdzieś wyjdzie, to na pobliską pętlę tramwajową – jest tam kilka kiosków i można kupić wszystko, co jest potrzebne do życia.

Przy furtce jest dzwonek, ale od dawna nieczynny. Starym zwyczajem rzucam kamyczkiem w okno, w którym po chwili pojawia się Witek, sprawdza, kto przyszedł, zamyka okno i schodzi, otwiera wejściowe drzwi i podaje mi dłoń.

– Mariusz u mnie był, on taki bursowy, przyniósł mi wiersze.

– Dlaczego bursowy? – wyrażam swoje zdziwienie.

– Bo taki szorstki jak Bursa.

– A ty, Witek, jak twoje zdrowie?

– Chory jestem, nie mogę spać, do dupy moje zdrowie, a jeszcze matka wczoraj w kuchni spowodowała pożar, chowam przed nią zapalnik, ma problemy z pamięcią.

– Piszesz?

– Ostatnio jakoś mi nie idzie, nie mogę się skupić, może na wiosnę skończę kolejny tomik, byłem już w wydawnictwie, rozmawiałem, ale u nich z funduszami kiepsko, poezja zaczyna być w niełasce.

– Kryzys gospodarczy, kryzys polityczny, a my pośród tych kryzysów, bez wyjątków, poeci czy kamieniarze, równo dostajemy w kość – dodałem z sarkazmem.

– Chciałbym postawić ojcu pomnik, nie chodzę już na cmentarz, bo nie mogę patrzeć na zielsko, które tam rośnie. Ile taki pomnik kosztuje?

– Spytał niespodziewanie.

– Serio? A kiedy chcesz postawić?

– Jakby dało radę, to na wiosnę. Ojciec był powstańcem, zasługuje na pomnik.

– Zrobi się – odpowiedziałem stanowczo. – Na wiosnę, tak jak tego sobie życzysz.

– Zrobisz ten pomnik? Naprawdę?

– Zrobię, dlaczego miałbym nie zrobić?

– Ale musi być napis, że ojciec był powstańcem.

– Będzie napis i krzyż też będzie.

– Matka, słyszysz? – Witek krzyczy do matki, która krząta się w kuchni – Juras robi ojcu pomnik, z krzyżem i napisem!

Witkowi poprawił się humor, zaproponował mi nawet herbatę, chociaż nigdy u niego o nic nie prosiłem.

– Może piwa się napijesz? – rzucił ni stąd, ni zowąd. – A może wódki? Nie, wódki to ja nie mam, ale jak będę miał, to się napijemy. Ważne, że ojciec będzie miał pomnik.

– Byłeś na Listopadzie Poetyckim? – pytam Witka nie bez powodu.

– Właśnie, byłbym zapomniał o Dagmarze, udała ci się córka, nikt się nie spodziewał, że wygra turniej jednego wiersza. Ładna dziewczyna i do tego poetka, powiedz jej, aby wysłała swoje wiersze do Lemiesza, może jej wyda arkuusz w serii „Generacje”?

– Dobry pomysł, przekażę jej twoje sugestie. Myślę, że spotkamy się po moim powrocie z Niemiec, interesuje mnie „Cała jaskrawość” Stachury, z twoim udziałem.

Mówiąc te słowa, pożegnałem się z Witkiem, który ruszył w kierunku pętli tramwajowej po papierosy.

(...)

W niedzielę coś we mnie pękło i wybrałem się do kościoła. Dawno nie byłem na mszy, a o spowiedzi nie wspomnę. Grzechów tyle mam, że nie sposób ich zliczyć. Dawniej wypisywałem je na kartce, dzisiaj układam w głowie, bo wzrok już nie ten, a w kościele wiadomo – zawsze jest półmrok bez względu na porę dnia. Przed wejściem do kościoła spotykam Witka. Stoi i sprawia wrażenie jakby na kogoś czekał. Witek na nikogo nie czekał, może na spotkanie z Bogiem przy wejściu do świątyni, ponieważ w środku panuje ciżba i gwar, czego on nie znosi. Może kiedyś wejdzie i porozmawia z Panem bez świadków. O poezji porozmawia i poprosi o łaskę dla matki, która ciągle choruje. Matka to podpora, chociaż taka słaba i zda się, że powoli odchodzi.

– Nie wejdiesz? – pytam.

– Za dużo tam ludzi, już miałem wejść, ale coś mnie zatrzymało.

– Może wejdziemy po mszy?

– Żebyś wiedział!

Poszliśmy do parku Górczyńskiego. W niedzielę przed południem poszliśmy dla przypomnienia i odnotowania tego faktu, poszliśmy pogadać o tym i o tamtym, i o tym, co w trawie parkowej piszczą i z czego poeta obecnie żyje.

– Z biedy i nędzy żyje. A że jeszcze żyje, to ta bida nie całkiem schudła, coś z niej mamy, tyle, by nie wykorkować. Co sądzisz?

– Ja sądzę, że bida nigdy nie umrze i pozostanie z nami na zawsze.

– Dobrze mówisz.

– Nie wiedziałem, że bywałeś w Zdroju.

– Do Zdroju? A gdzie ten Zdrój, jak mówisz?

– Ciechocinek, z dużym stawem.

– Czytałeś pewnie „Całą Jaskrawość”?

– Też jeździłem do Zdroju, pannę tam miałem.

– Pannę tam miałeś? Kiedy?

– Z końcem lat sześćdziesiątych, miałem się z nią żenić.

– I co? Nic z tego nie wyszło?

– Stchórzyłem. Ładna była jak bogini.

– Ja bym z takiej nie zrezygnował – Witek pokręcił ze zdziwienia głową.

Po mszy weszliśmy do kościoła. Jeszcze czułem znany mi zapach kadzidła i słyszałem organy. Jeszcze dymiły wygaszone świece, jeszcze czułem obecność wiernych i obecność samego Boga, który z palcem uniesionym w górę, coś do mnie mówił.

Bądź mi litościwy, Panie, odpuść mi moje grzechy i nie wódz na pokuszenie, ale mnie zbaw od zła wszelkiego i od parszywej wódki, i od zła tajemnego, którego nie dostrzegam, a które jest może we mnie. Tak mi dopomóż, Panie.

Siedzieliśmy naprzeciw ołtarza, w naszym kościele z naszymi słabościami. Siedzieliśmy z naszą Golgotą i myśleliśmy o krzyżu – czy jest w naszych rękach i czy zaczęliśmy z nim wędrówkę. Bo każdy śmiertelnik ma swój ziemski krzyż, chce czy nie chce – musi z nim iść ku wieczności, której dotąd nikt precyzyjnie nie określił, jedna wielka niewiadoma jak nieskończoność, jak niezbadane zakamarki ludzkiej świadomości.

– To wpadniesz jeszcze kiedy?

– Za tydzień, najdalej za dwa, stawiamy nagrobek twojemu ojcu, jeszcze przed tym wpadnę.

– A to się matka ucieszy. – Zadowolony ruszył w swoim kierunku.

(...)

Z kartkami na żywność to istny cyrk. Odkąd je wprowadzili, nasze życie stało się ciekawsze. Gdzie tylko jestem, wszyscy o tych kartkach dyskutują. Nic innego nie słyszę. Jedni chwają sobie te kartki, bo bez kolejki mogą dostać kawałek mięsa. Inni, że mogą kupić w kiosku papierosy, a wcześniej ich nie było. Jeszcze inni zadowoleni są z cukru. Teraz cukru nam wystarcza, mimo że to zaledwie dwa kilogramy. Kawę pijemy gorzką, herbatę bardzo rzadko, jak już to z konfiturą, do której potrzebny jest cukier. O wódce nikt nie mówi. Wódki ciągle jest za mało, nawet gdyby przydział był większy.

U mnie w domu giełda kartkowa. Co by rzec, mamy ciekawe zajęcie. Na początku każdego miesiąca rozkładamy kartki i zaczyna się wylicznanka. Na pierwszy ogień idą papierosy. Ci, co nie palą, oddają swoje odcinki palącym. Palący w zamian muszą oddać odcinki na cukier. Potem tematem jest wódka, a na końcu mięso i wędlina. Wychodzi na to, że najwięcej odcinków dostaje się mamie. Mama nie pali i nie pije, więc cukru ma pod dostatkiem i na dokładkę moje i ojca odcinki na mięso, bo my obaj dostajemy wszystkie odcinki na wódkę. Wychodzi na to, że ojciec nie jada mięsa, ale za to, że nie pali, dostaje ode mnie połowę wędlin. I w taki to sposób stałem się jaroszem, takim, któremu daleko do abstynencji. Wstyd się przyznać.

Dardanele sakramenckie i jeszcze Syberia we mnie, której nijak się wyzbyć. Poezja mnie trapi codziennie za to moje kamieniarskie błoto i zmarnowany czas przy kamieniu. Kamień jest jak moje życie – chłodny i do tego twardy, i taki niespolegliwy. Już się na tym łapię, że zmiany jakowe we mnie zaszły i to bardzo daleko, i teraz jestem już nie ten sam chłopiec, o piwnych oczach, czuły i zawsze wrażliwy na piękno. Takie czasy, a nie inne, z bujnych ogrodów pozostały stępy i rzeki brudem zaszły. Jak patrzę teraz w lustro, to jakbym ojca widział i tego ojca to ja już się nie wyprę, chyba że moja pamięć jest zawodna, chyba że to lustro nadali diabli, chyba że tego lustra nie ma, i mnie też już nie ma, jest tylko wyobrażenie i miejsce na to lustro – dopiero.

Dobre czasy dla poetów, tych którzy cierpią i nie wiedzą za co. Bursa pisał, że poeta musi cierpieć za miliony. Ciekawe, kogo miał na myśli. Naród z pewnością. Nie wziął chyba pod rozwagę, że naród może też cierpieć. Dzisiaj naród

cierpi zbiorowo, a poeta w do-
osobnieniu, jeżeli jest poeta,
a nie bywa nim. Poetą jest na
pewno Andrzej Babiński. Dzisiaj mnie odwiedził,
a ja nie wiedziałem, że przyjdzie. Dzwonek u drzwi
o tej porze dnia?

– Jestem Babiński – przedstawia się mojej
żonie.

– Wiem, wiem. Pan Andrzej. Pewnie do
męża?

– Ja tylko na chwilę.

– Proszę, niech pan wejdzie. Jurek, to do
ciebie!

– To ja zdejmę buty.

– Nie, nie trzeba. Proszę wejść.

Andrzej trzymał mnie za słowo i dlatego przyszedł. Kiedyś wspomniałem o papierosach, że mogą mu załatwić, coś w tym stylu. Andrzej widocznie złapał tę propozycję i oto jest w moim domu, a ja nie wiem, jak z tego wybrnąć. Będę musiał mu odpalić z własnej puli gromadzonej wypadami na bazar. Nie może odejść z pustymi rękami.

– Dużo palisz? – z ciekawości zapytałem.

– Dwie paczki dziennie, czasem więcej,
gdy zarywam noce.

– Ciężkie czasy dla palaczy.

– Dla poetów-palaczy.

Andrzeja spotkałem jeszcze kilka razy, później nasze drogi się rozeszły i dopiero następnego roku w maju dotarła do mnie wiadomość o jego tragicznej śmierci. Było to krótko przed naszą rodzinną tragedią. Straciliśmy dziecko, a żona tylko Bogu zawdzięcza, że z porodu wyszła cała. Bardzo źle z nią było. Wróciła „stamtąd” – jak to określili lekarz.

– To cud, że żyje, takiego przypadku nie pamiętam. – Lekarz, który mi to mówił, czułem wyraźnie, poruszony był wielce i coś jakby przede mną krył.

Dopiero żona po powrocie ze szpitala wyjawiała parę faktów, które niewątpliwie były przyczyną naszej rodzinnej tragedii. Jeżeli jest sprawiedliwość, to na pewno nie tutaj – w moim mieście, w moim kraju. Ja wiem, co to łyż i wiem, co to wściekłość – kiedy człowiek jest bezsilny, kiedy zwycięża zło, a prawda ginie w papierach i ludzie odpowiedzialni za wyrządzoną krzywdę nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Daremne żale, próżny trud, bezsilne złorzeczenia – pisał kiedyś poeta, a ja mogę teraz poświadczyć prawdę tych słów.

*Fragmenty autobiograficznej powieści „Gromnica”,
ZLP Poznań 2016, Seria Libra, poz. 73.*



Ewa Najwer

Opowiadanka

San Gimignano

Pierwszy maja. Autokar został na parkingu, a my pniemy się pod górę, w stronę kamiennej bramy miasta, najeżonego wieżami. Po drodze wyprzedza nas paru miejscowych, którzy idą śpiesznie w tym samym kierunku, a niosą w rękę czerwone goździki.

- Oho, - mówimy do siebie z przekąsem - idą na pochód pierwszomajowy.

Istotnie, ledwo dotarliśmy na spadzisty plac przed kościołem, z głębi miasta zbliżają się dźwięki orkiestry dętej, grającej znajomą melodię marszową. Tłum turystów rozstępuje się na boki, a na plac wkracza czoło pochodu. Widzę u kilku uczestników takie same goździki w rękach albo wpięte w kłapy marynarek. Na przedzie dzieci niosą kolorowy transparent. Dzisiejszy przemarsz organizuje Socjalistyczna Partia Włoch, nie komuniści, których chyba mocno przetrzebił czas. Powiewają czerwone flagi SPI. Nie ma transparentów z hasłami politycznymi. To pochód w świątecznym dniu, a nie demonstracja polityczna.

Za tą czołówką kroczy kilkadziesiąt osób, nie może ich być więcej niż setka. Są to przeważnie osoby starsze, z przewagą mężczyzn, niektórzy w garniturach, pod krawatami, przeważa jednak sportowa wiatrówka do dzinsów. Widać po niektórych, że spracowani, z defektami fizycznymi, zgarbieni, kulejący. Ale są też dźwigający spore brzuszki. Kobieta stara, ale wyprostowana jak struna, z wyrazem twarzy dumnym i zaciętym. Może jakaś nauczycielka - idealistka. Młodzieży na lekarstwo.

Pochód zamyka orkiestra, stanowiąc osobny oddział. Dwie tamburmażoretki we włoskich barwach wywijają laseczkami. Błyszczą trąbki, waltornie, tuby. Pięć lub sześć czwórek. Na końcu tylko dwóch: Jeden, bardzo otyły, krocząc na rozstawionych nogach, łupie w wielki bęben - Gbum, gbum, gbum... Drugi jest małego wzrostu, niemal karlikowaty. Dźwiga przed sobą mały bębenek i energicznie wydobywa z niego: pium, pium...

A potem na łące obok ruin zamku zaczyna się pierwszomajowy festyn. Z obfitością win, serów i mięs na dymiących rusztach.

Dla zarobku

Ten łysawy blondyn z sąsiedniej klatki schodowej jest radykalnym przeciwnikiem przemocy. Przemocy wobec kobiet, dzieci, zwierząt, przemocy jako sposobu tłumienia niepokojów społecznych i regulacji konfliktów między narodami. Jest wegetarianinem łagodnego usposobienia.

A zarabia na dostatnie utrzymanie produkując rekwizyty i ubiory unisex sado-maso.

Mirosława Poncyliusz

Dogmat

Jesteś tak rozmaity
od zawsze po nieskończoność
złożony z za i przeciw
ze spokoju i bitwy na symbole i słowa
z nie i tak na kolanach
Czołem do pyłu i piasku
czołem w kamienne posadzki

Dla nas jesteś syn cieśli
urodzony jak wielu
tylko gwiazdę ci dano
jak nikomu na Ziemi

Zygmunt Dekiert

Bez wahania

Jasność
Słońce w pogoni róż rozkwitu
Ciemność
Ciało pieśczone odgadwane

Dzień
Ty różą w słońca zenicie

Noc
Cisza spełnienia w bukietach gwiazd

Piękno
zastygłe w marmurze zachwytu
niemym wahadłem
słonecznego zegara

Anna Elżbieta Zalewska

Twoje dłonie

Andrzejowi Bartyńskiemu

W otwartych drzwiach
witasz dzień
okrutna ręka
pozostawiła ślad
obraz zgasł
w rozgwiezdnym dłoniach
chwytasz niewidzialne światło
za chwile w oratorskiej mowie
kreujesz świat
miłość jest w Tobie
to znaczy chleb
i życiodajna woda marzeń
dla głodnych i pragnących
na wynos
ręką wiersz poety.

Wędrownka

Wziął kij i butelkę z wodą
Wyruszył w wędrownkę
kamiennym mostem
W górach nauczył się
jak osiągnąć czysty umysł
umysł – który już niczego nie potrzebuje
nie poszukuje to cisza
która na niczym się nie zatrzymuje
pojawia – wtedy gdy nie szukamy

Irena Banaszek-Niedzielska

Matka

Jest czysta
Dojrzałego lata pszenica
Dla głodnego i sytego
Pełna chleba życia

Nieustający zenit
Gorący pokarm dnia
Osłania zmęczenie ziemi
Szatą odradzania

Unosi światło Syna
Prostując skrzydła aniołom
Rozbudza drzemiące życie
Ku Horyzontom

Stanisław Chutkowski

Walc embarras

muzyka po wsi się niosła
przystanął i patykiem o płot
wystukiwał jej rytm

wciągnęła go

w sali odurzonej perfumami
i papierosowym dymem
poprosił ją do „walca embarras”

kołowali w takt melodii
bez słowa
widział tylko uśmiechnięte oczy
i dołki w policzkach

już wtedy obiecywał sobie
że będą razem
czekał
żeby i jej to powiedzieć

Agnieszka Balewska

Wprowadzenie do wiedzy o sztuce

Chciałabym opowiedzieć o sztuce, jako fascynacji i pasji mojego życia. Poświęcałam chyba cały swój wolny czas, aby malować obrazy, rzeźbić, wykonywać obiekty sztuki, czy pisać poetyczne opowiadania, bądź grać na flecie prostym, teraz flażolecie. Pobrałam nauki i te plastyczne, i te muzyczne. Zatem otoczyłam się własną sztuką, która bardzo pomogła mi wytrwać w trudnych chwilach i momentach życia. Dała mi siłę, nadzieję, odporność. A dzięki temu, że mam trochę tej potrzebnej wrażliwości na piękno – coś udało mi się zbudować w życiu, jakąś trwałą i elastyczną postawę, aby się nie poddawać przeciwnościom. Sztuka bowiem nauczyła mnie tego, że „każdy obraz można uratować”.

Przeżyłam ten proces na sytuacje z mojego życia, mówiąc: „Każdą sytuację można uratować”. Myślę, że człowiek, który ma trochę wolnego czasu, a nie bardzo wie, jak go czasami zagospodarować sensownie – mógłby eksperymentować, doświadczając sztuki poprzez praktykę tejże. Zacząć można od akwareli, kredek, czy pisaków.

To też są opowieści o sztuce i jej przygodności, wolności, o spokoju i niepokoju - można szukać indywidualnych odpowiedzi na pytania: Jak ma wyglądać własny obraz sztuki i co daje sztuka człowiekowi? Będę mogła przybliżyć czytelnikom, odbiorcom problematykę kreacji. A być może skłonię i odnajdę kolejnych twórczych ludzi do tworzenia i szukania własnej drogi wypowiedzi artystycznej, rodzącej się między innymi przez podziw i zadziwienie światem.

Jeśli możemy dołożyć coś wartościowego od siebie samych – jakiś artystyczny akcent do zastanego świata otaczającego nas codziennie, który być może potrzebuje indywidualnego twórczego dopełnienia – to może zdarzyć się właśnie to piękno i ta pożądana sztuka. Życzę, aby każdy z czytelników zastanowił się nad pięknem czasu, w którym żyjemy, a zwłaszcza nad momentami przebudzania się nowego świata natury, na wiosnę. Być może każdy chciałby poczuć własną lekkość i nadzieję oraz radość z bycia w świecie tu i teraz? Zatem twórzmy, gdyż „każdy czas można uratować”.

Na Krechę – wierszystawka artystyczna

Opowieść jak o żelaznym wilku z pieczar prehistorii. Aż 250 ugrupowań literackich, prawie 3 tysiące osób wykazuje słownik Ewy Głębockiej „Grupy literackie w Polsce 1945-1989” (Wiedza Powszechna, Warszawa 2000 r). Największą ich liczbę odnotowuje autorka w końcu lat 1970-ych i na początku 1980-ych. Ugrupowania odegrały swą oczywistą, ważką rolę w rozwoju sztuki, literatury, przeszły do legendy. Może nie te kokietujące tytułem „Szkoła Grafomanów”, „Pięta”, itp. Ale przypomnijmy magiczne dziś, choćby niektóre, wywołania: „Agora” (Wrocław), „Orientacje” (Warszawa), „Wierzbak” i „Próby” w Poznaniu ze Stanisławem Barańczakiem i Ryszardem Krynickim, „Drzewo” w Gnieźnie z Krzysztofem Kuczkowskim i jeszcze w Poznaniu na początku lat 1970-ych „Wiry” przy ZW ZMW utworzone przez Jerzego Szatkowskiego, potem prowadzone przez niżej podpisanego. Manifesty, spory, polemiki...

Redaktorka omawianej tu antologii - Łucja Dudzińska wydała tom „z mandragory”, za który otrzymała Nagrodę R. Milczewskiego-Bruno oraz dwie nominacje: do Nagrody Złoty Środek Poezji i Nagrody im. Kazimierzy Iłakowiczówny za Najlepszy Debiut Poetycki Roku 2013. W 2014 roku nakładem Zaułka Wydawniczego „Pomyłka” w Szczecinie wyszedł jej tom wierszy „Membrana. Cyrkulacje”. To ona - duch sprawczy, egeria „Grupy Literackiej Na Krechę” nie pozostawia wątpliwości co do charakteru założonego przez siebie stowarzyszenia. *Grupa ma na celu rozwój twórczości i twórczej aktywności jej uczestników, a także społeczne, bezinteresowne upowszechnianie i promocję sztuki. Dlatego inicjuje, organizuje spotkania, wystawy, prezentacje literackie, muzyczne, plastyczne, fotograficzne. /.../ Programem Grupy jest bycie ponad podziałami i dążenie do realizacji nowatorskich form przekazu sztuki. Istotną jest dla nas estetyka słowa, pojemność interpretacyjna utworów, a w efekcie głównie promowanie czytelnictwa poezji.*

I tu łąza się w oku kręci. Bo bywało przecież, że chodziło o coś więcej. Nasi futuryści sprzed wieku też chcieli palić muzea i na taczkach wywozić „wyschłe mumie Mickiewiczów i Słowackich”. Tu, w omawianej antologii (może raczej almanachu?) twórcy zdają się prezentować założoną programofobię, bo chodzi li tylko o popularyzację poezji i przebicie się? Takie postawy usprawiedliwiają założenia edytorskie książki. Bo „Wierszystawka artystyczna”, jak wynika ze słów wstępnych, ma być przede wszystkim próbą łączności z tzw. szerokim odbiorcą, z bibliotekami, w których jak pisze Łucja Dudzińska króluje proza. *Wychodzenie z poezją na ulice, do pubów, klubów - przy okazji organizowanych spotkań oraz rozdawanie autorskich kartek poetyckich w ramach akcji (anty)Walentynkowej. Na Krechę - jest przede wszystkim formą poszukiwania odbiorcy. Stwarzania okoliczności do spotkania przypadkowego czytelnika poezji, który zwabiony grafiką, kolorem, ascezą obrazu, wyszukany kadrem fotograficznym zatrzyma się na dłużej.*

Uderza wszechstronność poszukiwań młodych twórców. Jedną z najciekawszych, prezentowanych tu poetek, Jolanta Ciecharowska, łączy pasję do plastyki, poezji, muzyki oraz teatru. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, płaskorzeźbą i grafiką. Śpiewa oraz komponuje muzykę do swoich wierszy. Ilustruje także muzycznie poezję. Jest instruktorem teatru z doświadczeniem w pisaniu scenariuszy i reżyserowaniu przedstawień, współpracowała przy tworzeniu płyty, przygotowywała koncerty z pogranicza piosenki literackiej, jazzowej i klasycznej. Omawiana antologia realizuje formę syntezy sztuk, łącząc grafikę, rysunek, fotografię z artystycznie opracowanymi tekstami wierszy. Stąd i o układzie edycji tego oryginalnego albumu decydują prace plastyczne 14 twórców, pomiędzy nich autorka antologii „rozspalała” wiersze. Zwracają uwagę prace plastyczne Joanny Kulhawik, Krzysztofa Schodowskiego, Aleksandry Bujak, Jolanty Ciecharowskiej. Skoro każda ze stron uzyskała indywidualne opracowanie artystyczne, można by przypuszczać, że wiersze giną wśród linii, apli, fotografii. Tak, na szczęście nie jest... Zaskakują swym językiem teksty wstępu i postłowie, towarzyszące albumowi, pisane niby to stylem manifestu, odezwy, urzędowego sprawozdania, to znów natchnionej przepowiedni. Źródła tej pośpiesznej stylistyki można upatrywać chyba w zagrożeniach, jakie niesie nam język bloga, maila, twittera. Czytając album, wertując i znów wracając do wierszy trafiam jeszcze raz na Edytę Kulczak, Kacpra Płusę, Katarzynę Zając, Zdzisława Mikłaszewicza. Obszerną antologię kończy piękny wiersz Doroty Nowak „Na dwa”: *Od pierwszego zdania / szliśmy dwa razy mocniej. / Na szczytach wieje / dwa razy silniej. / Ty i ja, wszystko na dwa. / Pionowe skały ranią ręce / - pragniesz dwa razy bardziej. / Zawsze lubiłam poziomy, / mech od strony północy, / lubczyk dodawany na zielono / i rytm o poranku - na raz. / Gdy krótki sen starcza za dwie noce, / dwa razy mocniej szukamy siebie.* Ten erotyk można przeczytać także jako zapis relacji pisarz - czytelnik: oto kroczymy razem - ja pisząca i ty czytający „od pierwszego zdania”. Są tu i teksty bezbronne, m.in. Barbary Zuzanny Kujawy, Karoliny Duszki, Marka Bulaka, Bogusza J. Szulca...

Antologia zawiera tak utwory będące owocem wyrafinowanych doświadczeń poetyckich, jak i te, które wynikają z pierwszych kroków na drodze do literatury. Próżno szukać tu choćby śladu normatywnej poetyki, która mogłaby wynikać z programowych założeń grupy. Zwraca uwagę troska, staranność edytorskiego opracowania. Każdy z wierszy otrzymał indywidualną „oprawę” graficzną, istnieje w relacji z rysunkiem, grafiką, fotografią. Wyróżnia się świetna kreska Aleksandry Bujak (komiks!) i Krzysztofa Schodowskiego.

„Wierszystawka artystyczna”. Antologia Grupy Literackiej „Na Krechę”, T.2 z serii: *Poezja/Na Krechę*, ZLP Poznań, wyd. - Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin 2014; wybór, redakcja antologii Łucja Dudzińska, posłowie Marek Czuku.

Fragment recenzji publikowanej w „Toposie” nr 5 (144) 2015.
Dziękujemy.

Jerzy Beniamin Zimny

Koniec poezji

Jak się w tym wszystkim znaleźć będąc
czułym
jak zapalnik granatu. Kobieta mnie rozumie
i odpina stanik, nie chce moich wierszy na
noc,
nawet mój sen jest dla niej zbyt liryczny, a
przecież
Bóg dał mi pióro i kałamarz, aniołowie
skrzydła.

Nie uczyniłem z tych darów choćby piwnego
parnasu.

Jest mi jesiennie z kobietą bo liście zamiast
włosów.
Jest mi zimno, skostniałe na wczasach przed
pogrzebowych. Szkoda też na mrozie nie
będzie
z nich kryształu. I wiersza mi żal bo
nasiąknięty
alkoholem. I Polski mi żal, bo musi mnie
znosić.

Stanisław Romaniuk

Kołokwium wakacyjne z filozofii

My
Pośród bytów i nie bytów
Z priori wprost w aposto
A baba krowę sobie doi
I zjada jabłko newtonowskie

Zmieniamy
Trajektorie planet
I rozbijamy atom rozbity
A chłop przynosi nam komiśniak
I spala gardło okowitą

Kiedy wracamy podmęczeni
Aby odpocząć znowu w pracy
W cyberprzestrzeni naszej śnimy
Żeśmy nie tacy
My? Ta...? Cy? Cacy

Maciej Grela

* * *

jan chrzciciel kołyszę
do chrztu
żaglowce po jordanie
jak po wołdze
błądzą

w stajni z papier-maché
stoi koń na biegunach

do głowy jak ocean
uderza morze martwe

języki się ostrzą
trafia kosa na kamień
w pole wychodzi rosa

w ligi morskie
wiążą się ptaki wodne

w gajach oliwnych
sprzężenia zwrotne
szumią jak igły sosen

pachnie wojną



Maria Ciężela

mój wiersz

zapisuję siebie

po kawałku
po literze
po słowie

na obraz i podobieństwo

zmieniam kształty
myślę kolejność
ścieram do krwi

Kalina Izabela Ziola

Wspominając Młynówkę

pokochołam tamtą rzekę
jej czarną głębię
głaskaną warkoczami wierzb

poznałam zielone zakola
zmurszałe ściany kanałów
ażurowe łuki mostów
i ławeczkę cierpliwie czekającą
na nasze przyjście

Magiczne Schodki
wiodły mnie w dół
ku kładce i Wyspie Młyńskiej
ku słonecznym bulwarom

dziś rzucam na czarną wodę
niezapisany liść
i odbicie swojej twarzy

kiedyś rozmyje je czas

Dorota Nowak

lifting

tajemnica w której rodzi się piękno
ukrywa się w zaroślach pięciu stawach
na szczycie w powietrzu po burzy
słońcu rozpalonym na jej delikatnej piersi

w twojej głowie gładzisz sekrety unosisz
ciężar ponad snem o lataniu o szczęściu
w którym ludzie patrzą sobie prosto w oczy
odchodzą na odległość krótszą od bólu

tajemnica w której rodzi się piękno
ujawnia się w powrotach do domu
prostym taborecie który zrobiłeś dla niej
by mogła unieść się na wysokość snu

Krzysztof Wiśniewski

Zachwył

Spoglądam na horyzont pola
gdzie z napiętego łuku lasu
niczym strzała
wystrzelił klucz ptaków
trafiając w błękitną tarczę nieba

kimże jest ów Łucznik
co tak celnie mierzy
w zachwył ludzkiego oka

Agnieszka Mąkinia

* * *

Absolut
nie pozwala
się doświadczyć
nie walczy
(przeciwnik niegodny Jakuba)
Zostaje wiara
nadzieja miłość
w kolorach
Twych wzruszeń

Agata Łakatosz

Posłuchaj, a poczujesz

Cisza

Jak płatki śniegu
Gwiazdeczki
topniejące w ciepłe dłoni
Jak liście zwiędłe
odpływające z wiatrem
od matki gałęzi
do korzennej ziemi
Jak łom powolne smugi
za oknami świata

Cisza

Faluje wspomnieniami
a podstępnie
bombarduje
tętnem strachu
Przenika do serca
i...
zamiera...

Odnajdywanie Atlantydy

W miarę upływu lat narasta w człowieku chęć utrwalenia minionych chwil, przywołania z pamięci napotkanych w życiu ludzi, powrotu do ważnych lektur. Wydana niedawno książka Pawła Kuszczczyńskiego „Wartości zauważone. Recenzje nie wszystkie” powstała z potrzeby zatrzymania czasu. Autor, (recenzując twórczość Elżbiety Stankiewicz – Daleszyńskiej, Teresy Januchty i Agnieszki Zięby Dąbrowskiej), tak pisze o czasie: *Czas to rzeczywistość z którą ciągle obcujemy, którą nieustannie próbujemy oswoić w życiu swoim za pomocą różnorodnych sposobów (...). Od początku dziejów człowiek, według umownych (zmieniających się) miar, określa trwanie czasu, którego w żaden sposób nie udaje się uchwycić, zatrzymać. Czas ciągle trwa i jednocześnie nam nieustająco umyka. (...) Co zatem pozostaje? Przywołanie obrazów z naszej pamięci, będącej najczęściej stosowanym środkiem osvajania czasu”. Pisarz i poeta zna receptę na przemijanie, sposób na zatrzymanie człowieka na ziemi po śmierci. Jest nią słowo. Żelazo, a nawet stal rdzewieje, drewno staje się próchnem, kamień kruszy się. Ratunek przynoszą słowa (...) mądrze i dobrze napisane i czytane. Słowa nobilitują człowieka.*

Paweł Kuszczczyński, poeta, krytyk literacki, laureat licznych nagród, ma za sobą wiele lat „pracy w słowie”, „słowiarstwa”, jak za Julianem Przybosiem, powtarza autor. Napisał i wydał 12 książek poetyckich. Od stycznia 2011 roku do grudnia 2014 roku pełnił funkcję prezesa Poznańskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Przewodniczył wielu konkursom poetyckim i wypowiadał się o nadesłanych pracach, czego przykładem mogą być wstępy do pokłosa tych konkursów, zamieszczone w książce. „Wartości zauważone” zawierają recenzje z tomów poezji i prozy, głęboką analizę twórczości Elżbiety Stankiewicz – Daleszyńskiej, ogłoszone laudacje (jubileusz Heleny Gordziej, benefis Edmunda Pietryka i Mirosławy Prywer, uhonorowanie profesora Józefa Banaszaka), pożegnania i wspomnienia (Ryszarda Daneckiego, brata Bartłomieja, Janiny Perathoner, R. Mili – „najlepszej Nauczycielki i Wychowawczyni”). Paweł Kuszczczyński pisze o Mickiewiczu, Jastrunie, Marii Dąbrowskiej, Stanisławie Wojciechowskim – prezydencie przedwojennej Polski. Jest elegancki w swych wypowiedziach, uważny i sprawiedliwy – np. w recenzji z antologii „Na końcu świata i języka” nie pomija żadnego z autorów, dla każdego znajduje kilka słów oceny. Z taką samą uwagą pochyła się nad debiutantem i uznanym twórcą, odnajdując w recenzowanych pozycjach wartości cenne i często ze współczesnego świata eliminowane.

Byłoby jednak uproszczeniem przypisywanie recenzentowi i poecie jedynie chęci zatrzymania i utrwalenia czasu. Paweł Kuszczczyński walczy o słowo.

Aleksander Wat (w spisanych w książce „Mój wiek”) rozmowach z Czesławem Miłoszem wielokrotnie podkreślał, że deprawacja zaczyna się

od słowa wykoślawionego i ordynarnego. Wykoślawione słowa wykoślawiają myślenie, wykoślawione myślenie rodzi złe słowa. Koło się zamyka. Język lejący się z mediów, język polityków i język ulicy taką deprawację utrwała i sankcjonuje. *Słowo miało wtedy wartość, stawało się miłością duszy – pisze Paweł Kuszczczyński, recenzując „Widnokrąg” Wiesława Myślińskiego. Słowo jako miłość duszy – jakież to archaiczne dzisiaj zdanie, odległe i zapomniane jak Atlantyda, a przecież nośnikiem kultury ojczystej, [godnym najwyższej miłości – p.m.], jest język – bezcenne dobro każdego narodu. Słowo wypowiedziane, a tym bardziej napisane, wydrukowane winno być w pierwszej kolejności rozważne, a dopiero potem odważne, potwierdzające piękno polszczyzny (...) Słowo poprzedza namysł, pomysł, który rodzi i nobilituje każdą sztukę, sztuki pisarskiej nie wyłączając.*

Obserwując uważnie świat, widzimy jak coraz bardziej zatracą się tożsamość człowieka, społeczeństwa, narodu. Postępująca globalizacja unicestwia odrębność. Zadaniem poety, pisarza, jest (według Pawła Kuszczczyńskiego) zachowanie i pielęgnowanie kultury ojczystej. *Niebagatelną rolę w tym procesie odgrywa język. (...) Twórców winien niepokoić zalew obcych naleciałości, skutecznie zagrażających pięknu i czystości ojczystej mowy.* Prawdy przypominane w „Wartościach zauważonych” wydają się oczywiste, ale tak często o nich zapominamy uwodzeni bełkotem współczesnej sztuki. W większości lansowanych wydarzeń kulturalnych - diagnozuje Paweł Kuszczczyński – spotykamy *hałaśliwość spektakli, obrazkową widowiskowość i tanie efekciarstwo.* Zalewa nas zła literatura, co spowodowane jest łatwością wydania książki (wystarczy mieć potrzebną kwotę pieniędzy) oraz brakiem choćby najskromniejszej dozy samokrytycyzmu wielu autorów. Jeżeli do tego dodać opaczne kryteria wartości i lansowanie miernot obraz współczesnej kultury rysuje się w czarnych barwach. Lekiem na współczesne zło jest także odwoływanie się do historii i tradycji, przypominanie ciągłości istnienia i człowieczeństwa. *Ruiny Grecji i Rzymu, obrazy Rembrandta i Rafaela, rzeźby Michała Anioła, dzięki asocjacom, na których drugim brzegu jest nasze życie, nasza sztuka nabierają nowych znamion, odżywają w swym uwspółcześnionym humanizmie. Stają się na nowo odczytane. Znika bariera czasu i przestrzeni. Pozostaje poezja.*

„Wartości zauważone” przez Pawła Kuszczczyńskiego to prawda i pokora. *Sztuka nie znosi fałszu i arogancji – pisze autor. Domaga się przywrócenia szacunku i miłości do nauczyciela i mistrza, docenia skromność i wdzięczność („Spotkania M. Dąbrowskiej i H. Sutarzewicz – kaliskich dam słowa”), ceni polską gościnność i otwartość na człowieka i świat. Pisząc o twórczości Józefa Mazurkiewicza i Haliny Sutarzewicz docenia miłość do małej ojczyzny (Konina i Kalisza). Dopomina się o wrażliwość i zauważenie drugiego człowieka, oraz o sięganie do chrześcijańskich wartości. *Ewangelia jest drogowskazem w chaosie współczesności.* W jazgocie i zgiełku współczesnego świata, gdy zło jest takie głośnie, opisane wartości wydają się staroświeckie, niemodne (nie na topie – jak powiedziałby niejeden dziennikarz), zmarginalizowane i zapomniane jak mityczna Atlantyda.*

Zapomnianą wartością jest sumienie. Recenzując książkę Leszka Żulińskiego „Mefisto”

Paweł Kuszczynski pisze: *Samo słowo sumienie zniknęło z potocznego języka (...). Bardzo blisko sumienia jest godność, która zgubiła się w relacjach interpersonalnych, zniknęła za rogiem ulicy. Sumienie istnieje! Świadczą o tym przejmujące wiersze Leszka Żulińskiego o Judaszu, któremu tajniacy podsuwali jakieś papiery; i który drze je od lat / na strzępy, ale palce krwawią do dziś atramentem. Zło istnieje i zasługuje na potępienie, na piekło.*

...z Panem Cogito patrzyliśmy / na olej Boscha / Piekło nas dotykało / czuje pan śwąd? - zapytałem, / - od pana - odpowiedział / wstał, oddalił się, przepadł mi / w amfiladzie życia / szczęśliwi prości i prostolinijni: / ja siedzę tam dalej i nie wiem / które do wyjścia.

Książka Pawła Kuszczynskiego i przywołani przez niego twórcy przywracają nadzieję. Nadzieję, że cofną się ciemne fale, opadnie brudna piana, wrócą dawne wartości... Atlantyda znów ukáže swoje piękno.

Paweł Kuszczynski „Wartości zauważone. Recenzje nie wszystkie” LIBRA, Związek Literatów Polskich, Poznań 2015

Agnieszka Balewska

Pamięci Janiny Kotlińskiej malarki mistycznej natury – flory, pejzażu i światła

Do samego końca i od samego początku swojej drogi artystycznej – Janina Kotlińska spozstrzegala ją – własną, twórczą drogę – zawsze od nowa – w pewnej zażyłości i emocjonalnej stylistycznej wartości i grze kolorów – barw światłocienia, też rozbijanej optycznie formy w pryzmacie światła – na rzecz – dotknięcia i uderzenia gestem pędzla o płótno, czy zarysowaną formą kwiatową – w pasteli lub w rozlanej plamie akwareli – na kartonie – papierze.

Nigdy nie bała się być sobą, choć znała współczesne standardy i oczekiwania na nowe formy – modły sztuki. Zdawała sobie sprawę z bycia w ariergardzie – w opozycji, która zasadniczo jeszcze szanuje każdy najmniejszy składowy element i pył w Naturze i na której się definitywnie opiera poprzez dzieło sztuki i która w swojej regule – naśladuje i wizualizuje ją na płaszczyźnie płótna.

Artystka zachwycała się Naturą Stworzoną, jako dzieło i decyzją Logosu. Szczególnie ważne było dla Niej: Morze – jako wyzwanie marynistyczne – malarskie, i jako Morze w wymiarze: transcendencji doznania, nieuniknionego przemijania i powracania w wymiarze życia i śmierci. Zatem bezmiar

kołyszającej się materii wód pod dynamiczną taflą nieba – szanowała bezwzględnie i z pokorą doświadczała jej. Uznawała ją pewnie za najważniejsze, własne przeżycie egzystencji. Zatem "Bycie", które być może nie potrafi siebie przewidzieć ani wymyśleć w postaci modnej, chwilowej, celebryckiej sztuki... Ale potrafi w tym *Byciu w sztuce - Trwać...*

Oto i tak w głęboki sposób potrafi Owo Morze – poruszać widza – odbiorcę... I może również wstrząsnąć swoją prawdą, zawartą w dynamicznym rozmalowaniu tęczęowego pryzmatu światła. Janina zawsze myślała o obserwatorze, sama będąc nim w pierwszym, mocnym sensie i czyniła tak też w życiu, aby jej prace "żyły", i "były" u ludzi i między ludźmi, podobnie, jak przebiegała jej droga życiowa z rodziną i malarstwem wespół – przeplatając się z chwili na chwilę – z godziny na godzinę...

Malarka, którą była i w codzienności i w wyszukanej formie artystycznej, decydowała o swojej sztuce wprost... I wiele razy wracała do warsztatu opartego na cyklach, jako sposobie komunikowania się ze światem za pomocą barwy i formy. Zatem gdzieś zawsze te dwa elementy gry – zazębiały się w jej twórczości. Nie pozbywała się ani jednego, ani drugiego znaku wyrazu. Tak było w jej licznych pejzażach z dominantą roziskrzonej, promiennej natury, czy z drobnymi fragmentami rozświetlonej architektury, bądź sztafażu...

Interesowała się także martwą naturą, analizując formę owoców i naczyń, ukazanych na klasycznym stole, zakomponowane w duchu cezannowskiej aranżacji i dynamiki światła "spływającego" po formie i "budującego" te sposterżone kształty.

Janina Kotlińska również zajmowała się portretem z wyszukaną ascezą i godnością ukazując psychologię i duchową rolę portretowanej osoby. Jej dwa najbardziej angażujące i znane portrety z ostatniego okresu życia to wizerunki – św. Jana Pawła II i drugi portret – św. Karola Boromeusza. Obydwa dzieła w rozbudowanej światłoczułej barwie, a jednak w stonowanej kolorystyce są szczególnie przemawiające do wyobrażeń tych dwóch postaci. I można je obejrzeć w kaplicy Kościoła w parafii pod wezwaniem św. Karola Boromeusza, na Os. Pod lipami w Poznaniu.

Aktywność Janiny Kotlińskiej jako malarki – poetki – pisarki – twórczyni własnego modus vivendi stanowiły i nadal stanowią o jej wysokiej kulturze słowa, formy, dźwięku, myśli, wzniosłej interpretacji... i autorskiej – czasami dowcipnej zagadki – umowy, czy osobistej filozofii. Wiedziała nieraz kiedy się uśmiechnąć i zaśmiać się z absurdu, który towarzyszy często – właśnie przekonaniom i przemyśleniom – każdemu artyście.

I jak zdecydowanie w swoim malarskim uporze stanowiły o sobie prace artystyczne Janiny Kotlińskiej – tak uważała i często powtarzała, że najbardziej silne i wiarygodne przeżycie artystyczne jest właśnie w akcie plastycznym – twórczym. Jest ono silne, zarazem spontaniczne i swobodne, jako pierwotne wzruszenie w tworzeniu obrazów natury, czy portretów, postaci, pejzaży. A owo towarzyszące malowaniu – *Przeżywanie* – jest obecne nie tylko w obrazach autorki, ale również w odbiorze – u widza.

Samo Spotkanie się w *Świecie Malarstwa*, to wrażliwe i wartościowe życie, i jako jego żywy uczestnik malarz – twórca, jest również tym – pierwszym odbiorcą, w tej samej postaci – teź

artystki. Zatem owo *spotkanie w sztuce* było zawsze dla Janiny Kotlińskiej intrygujące, zagadkowe "ze znakiem zapytania" i podnoszące ku wyżynom percepcji, wpływające silnie na cały kształt tej sytuacji, zwanej *Malowaniem...* Uważała, że sztuki nie da się wymyśleć, ale na pewno *udaje się - Myśleć - Po Niej*. I można zastanawiać nad artefaktem i złożonością doznań, przeżyć, wzruszeń, rozmigotanych powietrznych bodźców i wewnętrznych, artystycznych zagadnień – tropów – pytań – zdań – prób – odpowiedzi i nieustannej gotowości w podejmowaniu wysiłku i spełnienia się w życiowej pasji malarki.

Dlatego barwne i ciągle żywe prace Janiny Kotlińskiej, są prawdziwym świadectwem Jej artystycznej postawy, nieklamanej twórczej uwagi wobec minionego, trwałego dorobku sztuki i wielu wieków szerokiego pasma tworzenia, a także w przeplataniu się stylów i plastycznych konwencji. Artystka respektowała zatem ową poważną i znaczącą tradycję *Malarstwa* i szanując jego świadomą rolę w rezonowaniu w ogólnie pojętej kulturze i historii cywilizacji. Rozumiała i tworzyła swoją sztukę nie tylko w kontekście tradycji europejskiej – ale wybiegała ciągle naprzeciw, w otwartej perspektywie widzenia specyficznego i wrażliwego, uczulonego na *drganie i falowanie świata* w ogóle. Również potrafiła ująć językiem malarskim przenikanie światła w materię, w której czasem właśnie owo światło rozbijało formę, kształt i gęstość, fakturę samej fizycznej farby – materii. Działo się to głównie dzięki cierpliwości i konsekwentnemu dotykaniu: precyzyjnym ruchem – pędzla malarki – powierzchni płótna, papieru, deski.

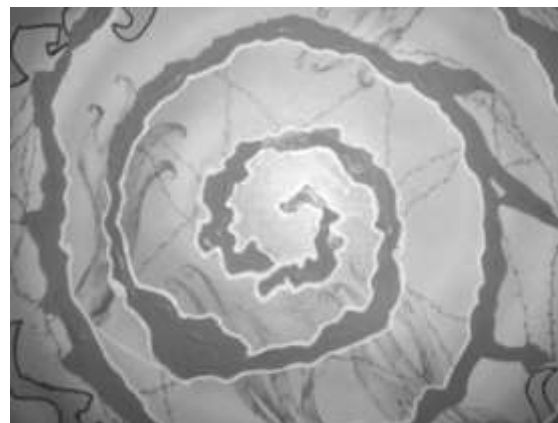
Myślę, że najważniejszą rolę w pracach Janiny Kotlińskiej odgrywa *Zmienność czasu, chwili i nastroju...* Niektóre prace są bardzo subtelnie kontrastowane i lekko opracowane w gwaszu, czy pasteli. Jednak są również takie obrazy, które z kolei są bardzo odważne w geście, zdynamizowane, soczyste w kolorach, radosne w uniesieniu i doświadczaniu przeżywania chwili czasu i miejsca.

Jej przywoływane świadomie impresjonistyczne widoki i pejzaże w technice olejnej, czy pasteli, lub przestrzenne powietrzne martwe natury, bądź wrażliwie malowane drzewostany i polne, słoneczne łąki – ogarnia właśnie jej twórczość. To wszystko zostało przez nią przeżyte i zapisane – zamknięte na płótnach i uchwycone w szybkim momencie uderzeń pędzla. I jak zawsze – dynamiczna postawa Janiny Kotlińskiej – decydowała o jej silnym malarskim przekazie i wyrazie emocjonalnym tychże prac na papierze, kartonie, płótnie...

Ta artystka, co ważne - również miała czas na rozmowy z ludźmi spotkanymi, artystami, osobami, które też szukały próby definicji własnego życia – niezależnie od wieku rozmówcy. Malarka była zawsze czuła, zarazem gotowa na każde ważne wyzwanie międzypokoleniowe: słowo, opinię, zagadkę, problem, jako otwarte zadanie - tak samo ważne dla niej, jak dla interlokutora. Bywają i zdarzają się czasem złożone momenty w życiu każdego, twórczego człowieka, po to aby się przy nich zatrzymać i zastanowić – zająć się myśleniem i również w nim też twórczo się realizować. Właśnie takie umiłowanie mądrości – Filozofię – prezentowała artystka. Janina Kotlińska uważała, że bez refleksji nie byłby możliwy rozwój świadomości i twórczej osobowości. Zatem

interesowała się i literaturą piękną i współczesną nauką, biologią, kosmosem – w pełni angażując swój intelekt i wyobraźnię.

Zatem jej sztuka, a szczególnie malarstwo olejne – pastele oraz gwasze i rysunek – wszystkie te techniki i formy aktywności plastycznej rozwijane były przez malarkę równocześnie, zarazem wpływając na końcowy rezultat dzieła. A dzięki podejmowanym szeregu próbom i świadomemu eksperymentowi – na tej właśnie ścieżce sztuki – artystka zawierała całą swoją, bogatą i złożoną świadomość, którą nie tylko karmiła swoją wyobraźnię i dzieło, ale też z chęcią i wrażliwością dzieliła się nią ze swoimi odbiorcami – widzami, słuchaczami...



Dlatego kiedy Jej teraz brak wśród nas i nie ma Jej fizycznie między nami, to ujawnia się szczególna strata – nie tylko w postaci utalentowanej artystki, ale też przede wszystkim osoby – przyjaciela – ważnego świadka naszych indywidualnych, życiowych historii, które Jej wielokrotnie powierzaliśmy z nadzieją, że ktoś może nas zrozumieć... Ale mam cichą nadzieję jednak, że cały czas nadal Ona czuwa nad pozostawionym *Ziarnem Mądrości i Śladem Piękna* swojej malarskiej sztuki, którą zasiała w postaci swych, ważnych, barwnych dzieł oraz istotnych zapisków na marginesach twórczej, humanistycznej działalności. Osobiście cieszę się, że byłam nieraz przyjęta na "sąsiedzką herbatę – kawę" i wtedy mogliśmy razem *popłynąć* w morskie pejzaże, utulone, zamglone lasy i lazurowe niebo... Tak szybko mija czas, zatem warto pozostawiać za sobą ślady – czego wartość dowiodła i pokazała nam wszystkim: Ta życzliwa, pełna nadziei, ufna w sztukę i ludzkie przeżywanie świata – malarka - Janina Kotlińska.

Stuor Muddus

Koniec lipca. Nadbrzeżne brzoźki w żółtym wieczornym słońcu. Jezioro Stuor Muddus - muliste zwierciadło świata. Nad nim i wokół - cisza. Tinnitus, brzęczenie kilku komarów, bicie serca, oddech, szum krwi, z rzadka - niezidentyfikowany ptak... To wszystko. Pełnia lata. Ptasia muzyka dokonała się. Pozostało koczowanie wśród gałęzi. Na łabędzie wojny i niepokoje jeszcze za wcześnie. I za wczesna godzina na wrzask sowy jarzębatej... Niemal nieruchomość. Jak w przejrzystym szkle... Jaka będzie cisza po nas? Po samochodach, kosiarkach do trawników, muzyce w słuchawkach? Czy piękna jak ta? Czy straszna? Miliony lat, miliardy... Dwadzieścia trzy wieki temu Aleksander podbijał świat. Jaki zgiełk, jakie plany! Przed chwilą... Brzozy stały wtedy nad nieco większym jeziorem. Torfowiska rosną jego kosztem... Złociste cumulusy nad tamtym brzegiem. Złote loki Aleksandra... Jak młody jest nasz świat. Jak niepojęty świat po nas! Czy wzniesiemy się jak łabędzie ducha? Czy też zabierzemy wszystko, także te złociste, wieczorne brzozy - do czarnej arki zagłady? Jedna z gałązek skinęła - Daj spokój! Niechaj będą wiara, nadzieja... i cisza.

Agnieszka Balewska (ur. 1967), znana też jako Dr Agi Bali i Agille Bagille - polska malarka i publicystka mieszkająca w Poznaniu. Zajmowała się m. in. performance'em dźwiękowo-motorycznym, rysunkiem, grafiką komputerową, malarstwem, sztuką obiektu i przestrzeni a ostatnio głównie „autorskim recyklingiem” rozmaitych przedmiotów odrzuconych przez innych, malowaniem na nietypowych podłożach (styropian, miękkie parawany, okna - szkła, makulaturowe, impregnowane obiekty przestrzenne (Papierowe Generatory Czasu) a dodatkowo - performance'em wizualno-słuchowym. Studiowała w PWSSP (obecnie Uniwersytet Artystyczny). Uzyskała dyplom z wyróżnieniem w 1993 r. (z malarstwa u prof. Jerzego Kałuckiego i z rysunku u prof. Jerzego Ludwińskiego). W 2002 stopień doktora nauk humanistycznych (w zakresie nauk o poznaniu i komunikacji) w Instytucie Kulturoznawstwa UAM u prof. Anny Zeidler-Janiszewskiej za pracę „Metonimia i metafora wobec artystycznego fenomenu sztuki obiektu”. W latach 2000 - 2003 prowadziła wykłady w Instytucie Kulturoznawstwa UAM i na ASP w Poznaniu. Brała również udział w XIV Kongresie Estetycznym w 1998 r. w Lublianie oraz w 2001 r. w XV Kongresie Estetycznym w Tokio. Zrealizowała przeszło 30 wystaw zbiorowych i około 50 wystaw indywidualnych w kraju i za granicą (m.in. Poznań, Warszawa, Łódź, Kraków, Szczecin, Gdańsk, Frankfurt nad Odrą, Bonn, Hanower, Londyn, Nottingham, Tokio, Bruksela, Hengelo). www.lagunart.pl

Ewa Moskalik

Aforyzmy

O niektórych wyrokach sądu

Zwidy
Temidy.

Nie wszystko złoto, co się świeci

Niekiedy dobry uczynek
ma dobrze ukrytą przyczynę.

Dylemat

Czy bycie sobą jest cnotą,
jeśli jest się miernotą?

Czyścioszek

Nigdy sobie rąk nie plami
dobrymi czynkami.

Jasnowidz

Dam głowę za to -
rzekł swym katom.

Diabelski oksymoron

Jedynie nikczemność czysta
interesuje antychrysta.

IQ

Rzadko poselskie IQ
sprzedałoby się na pniu.

Do bazarza

Bajki powinny być z morałem,
inaczej stają się banałem.

Cenzura

Zakazane tematy
kagańcem oświaty.

Moc ognia

To prawda, ogień oczyszcza,
ale najpierw są zgłiszczą.

W numerze wykorzystano obrazy Agnieszki Balewskiej

PROTOKÓŁ
KULTURALNY

Wydawca - Klub Literacki „Dąbrówka” -
Piątkowskie Centrum Kultury
Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej,
os. Bolesława Chrobrego 117, 60-681 Poznań
Redaguje Jerzy Grupiński
tel. 61 833 04 83
e-mail jerzygrupinski@gmail.com
korekta - Jolanta Szwarz
przygotowanie do druku - Stanisław Szwarz
„Protokół” dostępny także na Facebooku oraz
stronie
<http://poecipolscy.pl/proza/protokol-kulturalny/>

Redakcja zastrzega sobie możliwość skracania nadesłanych materiałów oraz ew. zmian tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.